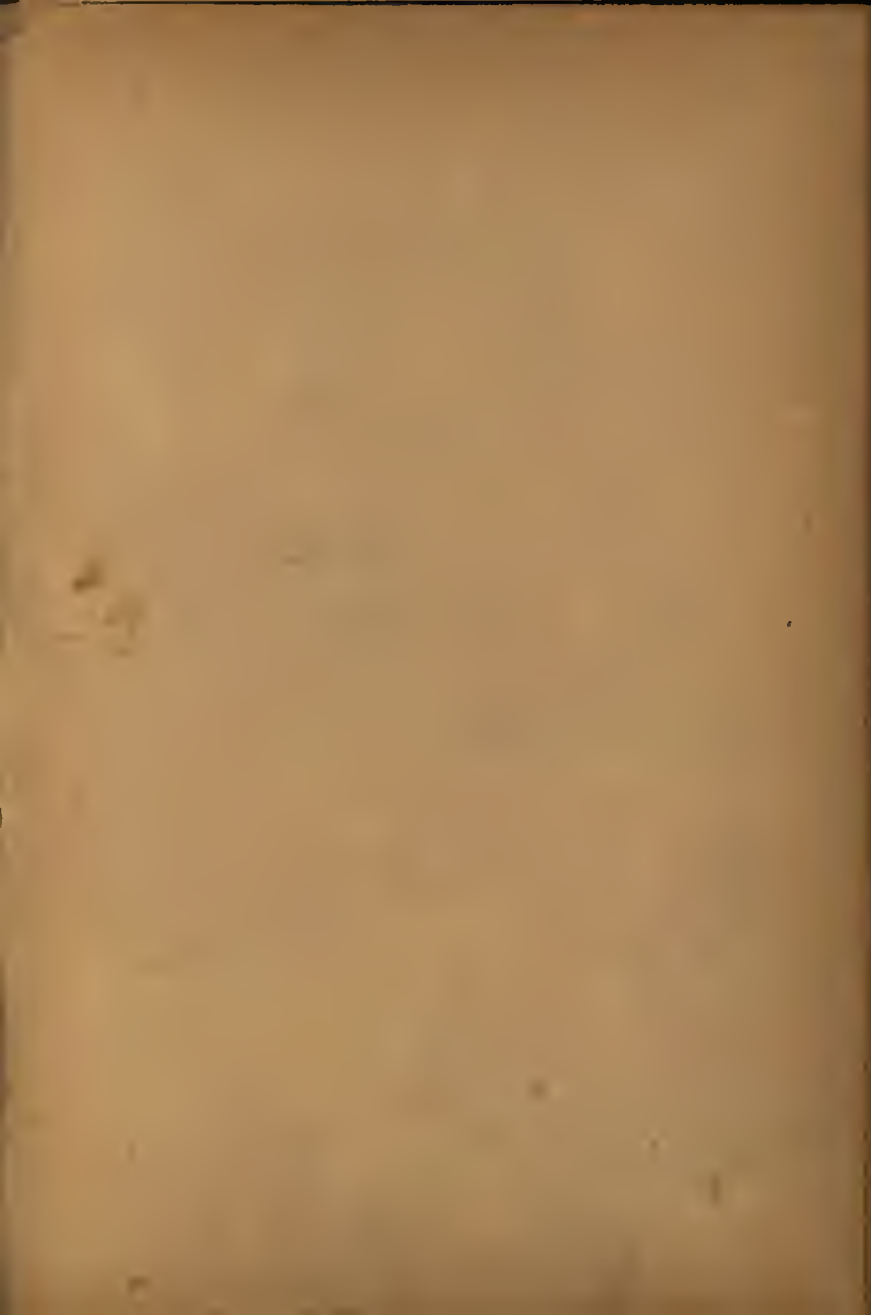
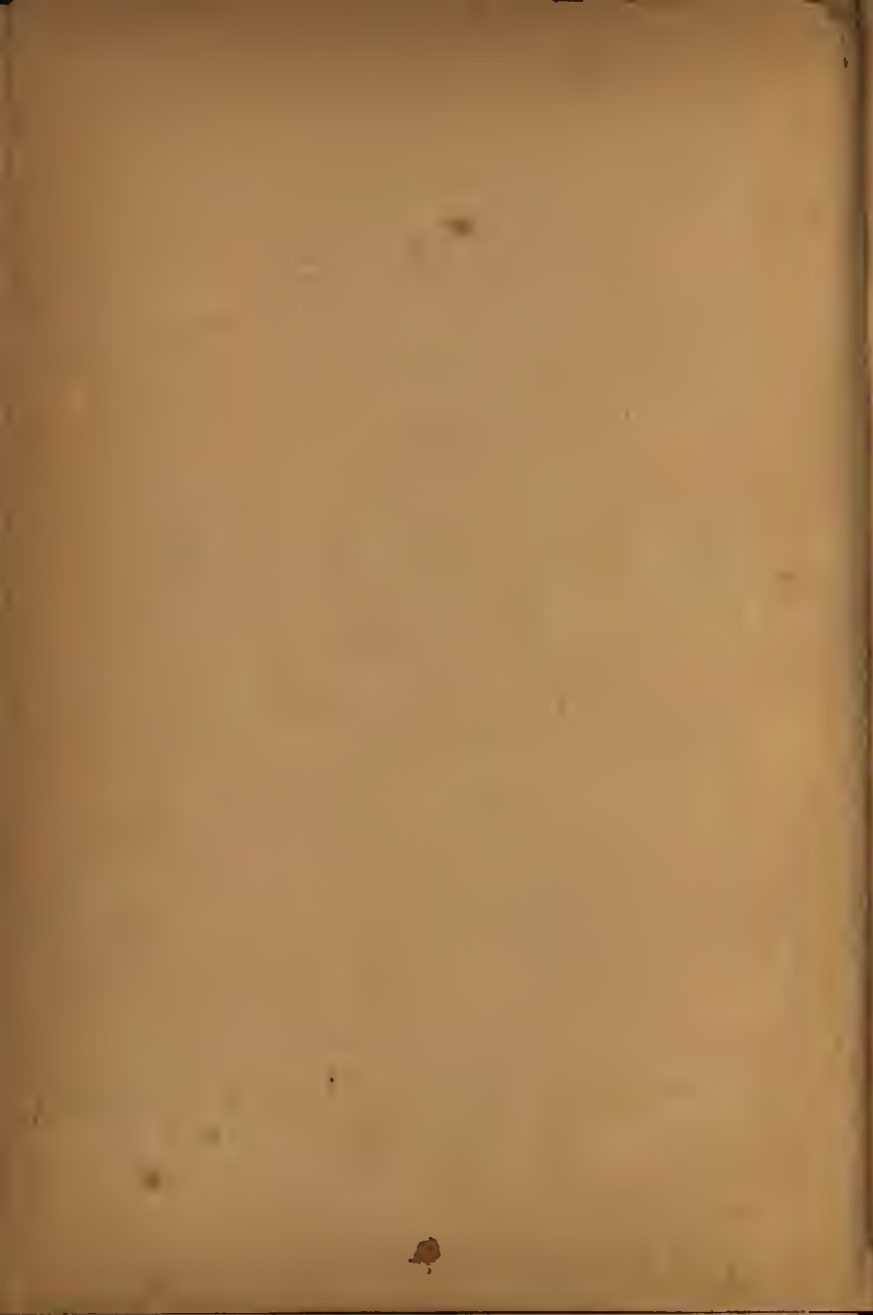




— 11 —







CZEŚNIKÓWNY.

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

TOM II.

WARSZAWA
AKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—
1885.

Доволено Цензурою.
Варшава, 19 Сентября 1885 года.



Na gościńcu wiodącym z Lublina do Warszawy, w okolicy leśnej, pod wsią wyciągniętą sznurem nad samą drogą — stała opodal nieco od niej chatka, którą zdawa za pustkę wziąć było można. Niegdyś zajmował ją podobno kowal, i była przy niej kuźnia tak licha jak ona, aż gdy drugą murowaną postawiono na samej drodze. około nowej austeryi, a tamtą ludzie nocami rozerwali na opał — chata została się sama, i parę lat nikt w niej nie mieszkał.

Ostatni właściciel, wedle zwyczaju, zabrał nawet okna; z dworu, na którego gruncie była wystawiona, posłał nierychło ekonom deski i kazał niemi okna pozabijać, aby pustkę uchronić, bo jeszcze na co przydać się mogła. Jakoż po dwu latach zgłosił się do ekonoma człowiek nie młody, na dworaka wyglądający, nie znany w okolicy. który prosił go czyby chatki nająć sobie nie mógł, a do niej parę zagonów ogrodu. Składał papiery i świadectwa jako bywał w różnych służbach po dworach, a wszystkie, szczególnież ostatnie świadczyły, iż musiał być człek stateczny. Powie-

dział o sobie, że mu już na późniejsze lata służba była ciężką; że trochę grosza uciulawszy, pragnął spokojnie gdzie życia dokończyć... Z oczów mu ni źle ni dobrze patrzyło.—ekonom z nich nic nie wyczytał: chłodny miał wzrok jakiś i na pytania ogólnikami. krótko. a wzdychając tylko odpowiadał. Dwór nic nie miał przeciwko wypuszczeniu chaty, z której grosza nie było. — a i ogród chwasty zarastały, z wyjątkiem jednego zagona, który sobie wdowa jakaś na kartofle wyprosiła.

Chatę więc wypuszczono za złotych dwadzieścia rocznie, a ów człowiek nieznajomy, którego panem Mikołajem nazywano, zaraz się tam wprowadził. Okna kupił tanio na jarmarku. a zresztą niczego tam nie brakło do zamknięcia. Sługi sobie żadnej nie wziął. z czego miarkowano że ubogim być musiał. obchodził się też lada czem i sprzętu wiele nie zaprowadził. Mówiono nawet iż na podłodze sypiał. o lada jakiego tarczan nie chcąc się postarać. W ogródku sam kopał. ogrodzenie, chrust wyprosiwszy i na plecach go nosząc, polatał powoli. a choć stary był i zwolna robił, nikim się posługiwać nie potrzebował.

Miano go z początku we wsi powszechnie za bardzo biednego człowieka. bo i odzież nosił starą a zszarzaną, ale się później okazało, że więcej w tem było chciwości i skąpstwa niż ubóstwa. Owszem. z razu okrzyczany niemal za żebraka. mało co później chociaż się zapierał uchodził za bogatego sknerę.

Wydało się to w ten sposób, iż włącząc w drogę arędarzowi, począł na lichwę potroszę pożyczać. Gdy to gruchnęło po wsi, a ten i ów już się mu zadłużył i niesposób się było ukryć z tem. że w chacie coś gro-

sza być musiało, pan Mikołaj psa sobie dostał, którego trzymał na powrozie cały dzień, złości go ucząc, a na noc na podwórko go spuszczał.

Pies był niepozorny, kundys prosty, kudłaty. plamisty. brudny. ale stróż jakich mało. Spał we dzień. a po nocach całych chodził do koła. naszczeniwał lub wył. tak że się aż ludziom przykrzyło, bo inne psy we wsi rozbudzone głosem jego, ujadły strasząc napróżno, lub wyciem mu wtórowały.

Wiele się do tego przyczyniało okoliczności. iż wkrótce i pana i psa we wsi znienawidzono. Pan Mikołaj był na pozór flegmatyk, spokojny. małomówny. czasem się od niego słowa było trudno dopytać. niekiedy nawet się jąkał tak zawzięcie. iż najcierliwszego znudził. Uważano wszakże iż jękanie mu przychodziło gdy się nad czem potrzebował namysleć, jakby się niem nmyślnie posługiwał. Do kościoła uczęszczał bardzo regularnie, przychodził niemal pierwszy, odchodził ostatni, modlił się na różańcu z podniesionemi do góry rękami, wzdychając głośno. a gdy się w piersi bił, na cały kościół słyszeć było... W wielki piątek zawsze krzyżem leżał godzinę, pościł z suchotami. Dla ludzi wszakże co z nim mieli sprawy pieniężne ciężki był, gorzej żyda... Mówił do nich słodko. a bardzo pobożnie zawsze, ale serca w nim za trzy grosze nikt nie znalazł... Już drugiego roku chodził z rękami w kieszeniach, około chaty i ogrodu sam nie robić nie potrzebując, bo sobie w procencie od pieniędzy daremszczyznę zawsze wymawiał. Jeden mu rąbał, drugi kopał, trzeci grodził, czwarty łuczyny musiał dać. i to się wcale nie liczyło... W karczmie nigdy go nikt nie zobaczył. naprzód dla tego, że z arę-

darzem byli na bakier, bo mu chleb odbierał. powtórę, że wódki nie pijał, chyba mu ją kto kupił, i to nie więcej kieliszka. Żywił się też pan Bóg wie czem, dla obrzydliwego skąpstwa nigdy nic nie kupując. tylko albo z ogrodu zieleninę i ziemniaki sobie gotując, lub garstkę wyżebraną krup. Chleb stary, zeschły brał w miasteczku u żydów zabezcen, maczał go w wodzie, i innego nie znał...

Przyzwyczaili się ludzie; — ale nikt do niego nie przystał. Nie potrzebował też zdaje się nikogo oprócz swojego psa, z którym był w przyjaźni.

Pies był równie na pozór spokojny i niewinny, a miał zwyczaj milczkiem kąsać... Nawet nocą, gdy najzawzięciej szedł a zbliżył się kto, ustawał, przy-czekał się i dopiero dopuściwszy na podwórze, rzucał się na nieznanomego.

P. Mikołaj przebył kilka lat we wsi, płacąc regularnie dworowi, choć za każdym razem urywać coś próbował; — obyli się z nim ludzie, ale niechęć ku niemu rosła. bo był lichwiarz bezlitośny i kto mu się w ręce popadł, to go powolutku ze skóry odzierał, po-bożne dając nauki, że się odeń wyzwolić nie było podobna. Ostatniego roku p. Mikołajowi jakoś gorzej być zaczęło, skarżył się na rwanie i łamanie po ko-ściach, nogi mu i ręce brzękły i czerwieniały. Do le-karza kazać się zawieść nie chciał, żałując pieniędzy, tem mniej do siebie go sprowadzić. Czatował czasa-mi na drodze czy przejeżdżającego nie pochwyci, ale i to mu się długo nie udawało; a gdy nareszcie raz za-trzymał jadącego, prosząc o radę, doktor go zbył ni-tem ni owem, powiadając, że w jego wieku z tej cho-roby wyleczyć się już trudno, że bogaci na to tracą

wiele pieniędzy i podolać biedzie nie mogą. Poszedł więc p. Mikołaj do domu z głową spuszczoną, a smarował się różnemi rzeczami, które mu baby doradzały. Kazał nawet zamawiać jednej, ale to nie pomogło. Mniej już coraz wychodził i to o kiju. Nie mógł się też obejść bez sługi i nastreczyła mu się niejaka Pawlicha, wdowa, stara sekutnica, okrutna, którą tylko dla tego przyjął, że za strawę i dach, bez pieniędzy, służyć się podjęła. . Tak się męczył prawie nie wstając, a gdy ludzie dla pieniędzy doń przychodzili, na łóżku siedząc ich przyjmował, i z węzełków, koło siebie pozawijanych, grosze dobywał.

Pawlicha powiadała że po nocach jęczał i w pierś się bił, i wzdychał, tak że nieraz z chaty uciekała, sądząc że go zmiory lub szatany duszą.

Jednej takiej nocy nieszczęśliwej, gdy Pawlicha z kądzielą siedziała przy łuczywie, palącym się jeszcze w kominie, a stary co ciemności znosić nie mógł, bezustanku jęczał na swoim barłogu, pies strasznie ujadąć zaczął. Nie bardzo z początku nań uważano, bo to było jego zwyczajem iż niewiedzieć co słysząc z daleka, darmo ludzi ujadaniem niepokoił, ale wkrótce potem koło chaty dał się słyszeć tentent, — a żadna tamtędy nie szła droga, tylko wązka ścieżyna do łąk wiodąca. Pawlicha się ulękła jeszcze bardziej, posłyszawszy głos za płotem, wołający. — Jest tam kto?!

Lękała się wyjść zrazu, aż jej pan Mikołaj nakazał. Noc była bardzo ciemna. Za płotem stał jeździec na koniu, powtarzając hukanie i nawoływanie. Pies, aż łapami się na płocie oparłszy, czekał zajądła. Gdy posłyszał przybyły otwierające się drzwi

chaty, w której się świeciło, począł na babę wołać. aby do niego szła...

— Co wy tu robicie, na miłego Boga! zakrzyczała Pawlicha—tu drogi tędy nie ma żadnej; czemu nie jedziecie do wioski?

— A kat was tam wiedzieć ma, gdzie u was wieś, a gdzie jej niema. — odezwał się przyjezdny. Ciemno choć oczy wykół... Na światło i na szczekanie psiejechałem. bom zbłądził... Baba mu chciała do karczmy pokazać.

— Weźcie ino psa aby on mnie nie zjadł, albo ja go nie skaleczył, rzekł podróżny. Muszę choć wytchnąć u was, bom się stłukł tą jazdą na miazgę. Dam dwa złote...

Obietnica poskutkowała. Pawlicha psa uwiązała, otworzyła furtkę i podróżny wjechał. a konia uczepiwszy do kołka, sam do chaty wszedł.

W blasku od świeczki począł się on przypatrywać chacie i jej mieszkańcom. a oni jemu.

Mikołaja trudno było dojrzeć, tak miał i ręce i nogi. ba i twarz szmatami poobwiązywane, a popatrzyszy na podróżnego. zamiast się do niego ruszyć. jeszcze się szczelniej pookrywał i nawet jęczeć przestał...

Oprócz tej izby i alkierza, w którym ledwie było miejsce na sypanki. worki i zastawione kożuchy, nie miała chata więcej izb; wszystko więc co Mikołaj posiadał wisiało po ścianach. Była tam i odzież, była i strzelba stara i różnych rupieci dosyć. Wodząc oczyma po izbie, przybyły zobaczył na ścianie surdut z białymi guzikami. który Mikołaj snąć z dawnej słu-

żby przyniósł z sobą. Co go tknęło. poszedł się guzikom przypatrywać, po chwili zdziwiony zapytał:

— A to się tu zkad wzięło?

Mikołaj przyczajony czy śpiący nic nie odpowiedział; Pawlicha powoli objaśniła, że to była z dawnej służby liberya.

Posłyszawszy to podróżny. szybko do łóżka poszedł i schylił się nad niem. Mikołaj do ściany odwrócony, udawał że usnął. Stojąc nad nim przybyły zawołał: — Hej, mospanie—obróć no się, mam się spytać o coś...

Na to nie było odpowiedzi. Pokiwał pytający głową... poczekał trochę; — a że człek był jakiś impecyczny, pochwycił leżącego za kark i ku sobie przyciągnął. Mikołaj krzyknął, a ów gość jeszcze głośniej.

— A widzisz—nie skryć ci się przedemną.

Baba, która była tej sceny świadkiem, nie wiedziała co myśleć, sądząc że szatan na koniu czarnym po duszę p. Mikołaja przywędrował.

Chory odwrócił się, oczy niby przecierał i niezrozumiale coś bąkał.

— Cóżes to nie poznał mnie? groźnie zapytał stojący nad łóżkiem — może po głosie dawnego pana przypomnisz sobie...

Mikołaj dopiero teraz cichuteńko począł:

— Dajcież mi choć skonać spokojnie. — Widzicie żem chory...

— Nic ci nie uczynię, ale ze szczęśliwego trafu co mnie tu sprowadził muszę korzystać, boś mi znikł i odszukać cię nie było sposobu. .

Mikołaj milczał i stękał tylko.

Podróżny to milczenie przypisując nie potrzebnej obecności Pawlichy. wyprowadził ją małym datkiem za drzwi. Szła tedy do sieni, konia niby doglądać, aby się nie urwał; — a koń prędzej miał ochotę się kłaskać niż biegać, bo okrutnie bokami robił i dyszał.

— Stary, ozwał się, po wyjściu Pawlichy, siadając na ławie przybyły, ty mnie nie zwiedzisz.— Znam cię dawno. Skonasz sobie później. a teraz mi musisz odpowiedzieć...

Mikołaj się zwłóknął jakoś i usiadł na łożu, trzęsąc się ze strachu...

— Co zrobiłeś z dzieckiem? zapytał go podróżny... mów!

— Wychowywałem je, Bóg widzi. do ostatniego grosza się na nie wyszafowawszy. jęknął Mikołaj. Wyrosła dziewczynina pięknie. a no przyszła odra czy jakaś choróbsko i — umarła...

— Kiedy? spytał podróżny.

— Już temu drogi rok — rzekł Mikołaj. Baba, która pode drzwiami słuchała, chwytając przez szpary w nich i pytania i odpowiedzi. Zrozumiała że szło o jakieś dziecko. i że ono miało umrzeć dwa lata temu. a Mikołaj daleko dawniej tu mieszka i żadnego dziecka nigdy przy sobie nie miał... listów nie odbierał, nigdzie się z domu nie ruszał, — kłamał więc.

Przeszły dreszcze Pawlicę, bo pomyślała sobie że stary coś z dzieckiem zrobić musiał, a kłamstwem to pokrywał... Przełękła się niezmiernie...

— Gdzież ona umarła? spytał podróżny.

— A to nieborzátko... a to — rzekł wzdychając Mikołaj, pochowałem ją sam na cmentarzyku za wsią.

— Więc i sepultura musi być—odezwał się przybyły. a tej mi teraz koniecznie potrzeba. Zabawię więc do jutra, i od księdza ją dostanę.

Mikołajowi oczy błysły...

— Gdzie? jaka sepultura? odezwał się — czy to dzieci zapisują? Ja nawet się nie meldowałem z tem do księdza — samem trumienkę na cmentarz zaniósł i dołek wykopał.

— Kłamiesz? kłamiesz niepocziwy — zakrzyknął przybyły... kłamiesz!...

— Prawdę mówię...

— Zobaczymy zaraz. przerwał idąc do drzwi podróżny, ale nim doszedł, zerwał się z łóżka Mikołaj o kiju i odciągnął go...

— Co pan chce robić? co? mnie i siebie gubić? Tak jest jak mówię.

— Kłamiesz — zawołał podróżny — ja muszę wiedzieć co się z dzieckiem stało, abym siebie oczyścił. Dałem ci je na wychowanie. Miałeś kobietę wziąć i hodować dziecię aż by dorosło... na toś pieniądze wziął...

I otrząsnąwszy się od chwytającego go za rękę Mikołaja, podróżny drzwi otworzył. baby wołając...

Pawlicha, która wszystko przez szpary widziała, odskoczyła naprzód za próg. aby ją na podsłuchach nie pochwyciono, potem przybiegła... Miała ona żal do Mikołaja za twarde i Nielitościwe obchodzenie się, a podejrzывała go że coś mu na sumieniu ciężżyć musiało; gotowa więc była przeciw niemu świadczyć.

— Dawno on tu przybył? zapytał podróżny Pawlichy.

Zaczęła liczyć na palcach. przypomniała że tego właśnie roku. córka jej zmarła na Zielone Świąta, i obrachowała łącznie lata.

— A miał z sobą dziecko, gdy do was przyszedł?

— Mogę choćby i przysiądz na Ewangelii — odezwiała się Pawlicha — bo co prawda to prawda. że samiusieńki jeden przyszedł i nigdy nikogo przy sobie nie miał.

Mikołaj spuchłą, czerwoną pięść wyciągnął — babie grożąc.

— E! co mnie tam — dodała — ja dla waszeczki sumienia mego nie zaprę i duszy gubić nie będę. Nikogo nie było...

Podróżny dobył pieniędzy i dał babie, nie potrzeba już było za drzwi ją wyprawiać. Mikołaj się zwłókł do łóżka, i siadł na niem milczący...

— Nie zmarła tu — to zmarła wprzód, rzekł z gniewem... Chorowite było dziecko... darmom na ręku się je nadźwigał. Cóż pan myślisz że ja zbój jestem... dzieciobójca... cóż? że ja dziecku życie odjąłem. Tak mi Boże grzechy odpuść—tegom nie zrobił, na przenajświętszy Sakrament przysięgnę. Bóg widzi przysięgnę.

— Mów że mi całą prawdę! mów mi ją zaraz! grożąc zawołał podróżny...

— Co mam mówić! dziecko umarło... Spuściwszy głowę odezwał się Mikołaj.

— Gadał bo będzie źle! — krzyknął nalegając gość

ów natarczywy, mam cię w ręku, postawię cię przed sąd...

Mikołaj oczy podniósł powoli. białka mu w nich zaświeciły i głową począł kiwać.

— A jak że by to jaśnie pan mógł zrobić? A toć by sam musiał się oskarżyć, po co mi na zatracenie i na biedę swoje dziecko oddawał.

Porwał się na te słowa podróżny, aż Pawlicha ze strachu krzyknęła ręce łamiąc, i chwyciwszy starego za ramiona, trzęsć nim począł jak martwem drzewem, a Mikołaj jęczyć i krzyczyć. Pawlicha przyskoczyła nie wiedząc już co czynić, żeby kryminału nie dopuścić, bo ze starego łatwo było i rękami i strachem duszę wygnać.

— Mów mi zaraz, niegodziwcze... wołał przybyły...

Rzucił go na łóżko aż stary głową o ścianę stuknął, ale się zaraz porwał i siadł. Pawlicha zawodziła ze strachu... pies pod oknem wył... Chwila była okropna... bo i ów podróżny któremu twarz krwią nabiegła. jak pies z piekła wyglądał...

— Dziej się wola Boża nademną! zawołał stary z łóżka... tracąc poszanowanie wszelkie dla tego, którego tylko co jaśnie panem nazywał. — Co ja się mam bać albo taić! Toś ty lepszy odemnie? Albo to dziecko było moje? Dałeś mi je tylko dla tego, żeś mu kamienia do szyi przywiązać nie mógł, boś się bał!! Co ja miałem z dzieckiem zrobić — ja. stary? sam jeden? A gdybym je wychował coby z niego było? Żebrać... Com miał uczynić? — Sumienie moje od twojego czystsze? Podrzuciłem je tam gdzie inne rzucają dzieci, aby panny co sieroty chowają. wychowały... Nie było w tym zbrodni...

Przybyły zamilkł, patrząc na starego, który się miotał...

— Tak mi panie dopomóż, — dodał Mikołaj, mówię prawdę.

— Ale jakież dowód na to? krzyknął podróżny. ja potrzebuję dowodu!...

— Żadnego nie mam — odezwał się stary — rób co chcesz, albo mnie zadus tu na miejscu, albo mnie sobie do kryminału oddaj. więcej cierpieć nie będę—wszystko mi jedno...

To mówiąc, zsiniała twarz, wśród której dwoje oczów białych świeciło, podniósł ku napastnikowi, jakby wzywając go... trząsł się cały.

Zmilkzał chwilę przybyły mężczyzna.

— Ty kłamiesz zawołał — ty jeszcze kłamiesz... przyznaj się...

— Do czego się mam ci przyznać? zuchwale odparł stary.—Niech pójda i popytają u podrzutków. powiem rok, miesiąc i dzień i godzinę, kiedy podrzuciłem dziecko, bom je sobie zapisał... dojdą łatwo czy prawdę mówię. — I począł na półce, nad głowami łóżka uczonej, szukać starej książki, która mu na poduszkę spadła... Wziął ją wyciągnął z niej kartkę, podając przybyłemu... Ten spojrzawszy na nią. nie mówiąc słowa. zadumany. schował ją do pugilaresu.

— Masz szczęście! rzekł ponuro — masz szczęście...

A gdzież pieniądze, które ci na dziecko dałem?

Słyszac to pytanie Mikołaj zębami zazgrzytał.— Ale — zawołał — jeszcze ci mam pieniądze oddawać! a tyle lat com żył jak pies, z czego bym żył gdybym ich nie przejadł?

Rozśmiał się. — Będziesz widział pieniądze... ale! będziesz widział! Patrzajcie — jeszcze mu się czego zachciało?

Ściągnął powoli nogi na łóżko, i począł się łańchmanami obwijać spokojnie, jakby już przed sobą nie miał nikogo.

— Babo... zawołał schrypłym głosem — idź — zawołaj wójta, sprowadź ludzi... niech się dzieje wola Boża, ja tego dłużej zcierpieć nie mogę i nie chcę... Pawlicha stała nieruchoma. — Podróżny też pogardliwie spojrzawszy na leżącego... podszedł do ognia zapalić cygaro już nie mówiąc... jakby na niego nie zważał.

— Którędy do karczmy? zapytał Pawlichy...

Baba rada się go pozbyć była; żywo więc rozповідаć zaczęła, że od chaty w prawo idzie drożyna, a potem rów nie głęboki; trzeba przejść po kładzce i na groblę wniść, a groblą zawsze w prawo, podle młynka, prosto do gospody.

Wyrozumiawszy to podróżny, już i okiem nie rzucił na Mikołaja, który z barłogu swojego patrzył za nim niespokojnie. — Otworzył drzwi, wziął konia, skrzypnęła furtka i słychać tylko było chód jego i koński, aż póki na miększą łękę nie zeszli...

W chacie po tej wrzawie panowało milczenie. Pawlicha zamyślona, patrząc w ogień stała z założonymi rękami. Stary leżał i oczy mu się tylko świeciły. Zbliżyła się doń po chwili, myśląc że mu ta kłótnia i strach chorobę pogorszyć musiały — a litość ją wzięła nad nim.

— Co jegomości teraz? jak?

— Idź precz! mruknął Mikołaj. — zabierz swoje rupiecie i żeby mi tu więcej noga twoja nie powstała...

A była noc czarna i Pawlicha nie miała się gdzie schronić. Plasnęła w ręce...

— Gdzie ja pójdę w czarną noc?? Nie doczekanie twe... Jak dzień zaświeci to ci się prosić nie będę... Pójdę... Albo to mi tu raj taki? Wolę u żyda służyć niż u waszeci...

Poszła sobie siennik słać. i burząc się układała — a stary słowa nie rzekł. Rano myśląc że go nastraszy. poczęła węzełki swe ściągać, a on nic nie mówił. Co dziwniej, w nocy nie jęczał wcale, tylko oddychał ciężko. Sądziła że po takiej łaźni jaką przebył, nie podniesie się już i bodaj zaniemówi zupełnie. ale natura była znać w tym Mikołaju • osobliwsza. bo nazajutrz rano o swej mocy bez kija się włókł, silniejszy niż wprzód, i sam sobie gospodarować począł. Babę precz wygnał, drzwiami za nią trzasnąwszy i zaryglowując je.

Gdy się we wsi pokazała Pawlicha. a kumom owej noc ostatnią opowiadać zaczęła, kumy mężom, mężowie zanieśli do karczmy, dworscy do oficyny i na folwark, — nazajutrz zrodziła się z tego historia taka, że tylko szubienicę było postawić i Mikołaja powiesić bez sądu... Doszło to i do plebanii i do dziedzica, zaniepokoiłi się wszyscy, iż mieli człowieka na gruncie tak długo, który mógł nieszczęście i kłopot spowodzić... Rada w radę ekonom nazajutrz miał iść do chaty i rozgadać się ze starym. O podróżnego w karczmie dopytywano także zaraz, ale arędarz zaręczył, że ledwie konia popasłszy, dalej kędyś w świat ruszył. nawet nie pytając o drogę. Ekonom nim się zebrał

do Mikołaja zająć, wprzód do robotników musiał zajrzeć, na pole jeździć, wyklócić się z kilku parobkami. tak że z południa dopiero do chaty podjechał. Pies nawet nań nie zaszczekał. furtka była zamknięta. w koło głucho i cicho. Zlazł tedy ze stępaka uwiązawszy go do płota, a sam wszedł na podwórko. Drzwi od chaty były zamknięte, ale ze środka nie zaryglowane. tak samo drugie z sieni do izby wiodące. Otworzył je ekonom, spojrzał wewnątrz — nikogo. — Sprzęty zostały. barłóg na którym legiwał Mikołaj, jeszcze stał wyleżały i wyduszony jak był, na kołkach zostało coś łachmanów, reszta pozabierana — i starego ani śladu.

Jak mógł ów człowiek uciec, który niedawno ledwie o kiju się włókł przez podwórko, tego trudno było zrozumieć. Nikt też go wychodzącego nie widział. Psa zabrał z sobą — nie rychło, bo na trzeci dzień dzieci, które biegły ze dzbankami do krynicy, powiedziały iż zrana widziały kogoś z chaty idącego ze psem przez pola, a z węzełkiem na plecach, ale go nie poznały, bo stary źle dochodził, a tamten i rzeźko się ruszał i młodziej wyglądał... Znać mu ten strach i wzruszenie zamiast zaszkodzić poskutkowały, że władzę lepszą w nogach odzyskał. Dworowi się należał czynsz, więc rupiecie pozostałe zabrano i posprzedawano, ale nie było ani na połowę zaległości. Pod barłogiem poruszona była ziemia, gdzie garnuszek pono miał zakopany. w którym pieniądze chował... a Pawlicha nawet o nich nie wiedziała.

Jednego poranku gdy się go tam najmniej spodziewano, pan Michał Skórski zjawił się w Brończej, ale do dworu swego nawet nie zajechał, tylko wprost do leśniczego, do gaju, z kąd chłopaka wyprawił aby mu ekonoma sprowadził. A miał starego sługę, co już lat tam przebył ze dwadzieścia. i człowiek był niezły. tylko nie pomierny hulaka. Godzili się pan i sługa, a wzajem sobie wiele wybacząc bardzo się kochali.

Cyrkiewicz zaraz na konia wsiadł i do Leśniczówki pojechał... Lasu w Brończej było dosyć, i gęszcze a moczary nad rzeką niedostępne, do których mało kto się kiedy dostał. A że wywóz drzewa z tej części lasu był trudny, ocaliło to puszczy kawał piękny i miały czas porosnąć tam sosny. jakich na całą okolicę nie było. Leśniczówka leżała właśnie na kraju tego boru. a była to chata porządniejsza nieco od wiejskich, w której na czas letniego myśliwstwa, pan Michał izbę sobie osobną trzymał, bo niekiedy po parę tygodni polował.. Teraz mu się ona przydała wielce, choć o ławach nie myślał... Prędzej niż się go spodziewano przyleciał Cyrkiewicz zdyszany. pojąc nie mogąc dla czego pan zamiast do dworu. wprost się udał na Leśniczówkę; już mu to wielce do myślenia dawało. Na progu spostrzegł Skórskiego, a z twarzy mógł poznać, iż mu się coś stało, nigdy bowiem nawet po chorobie tak staro. wymizerowany i straszny nie wyglądał. Weszli z nim zaraz do pańskiej izby.

— Słyszysz Cyrkiewicz. rzekł Skórski. na nikogo nie rachuję, a w tobie jedynym mam ufność. Myślę że mnie nie zdradzisz...

— Panie! przerwał Cyrkiewicz gorąco. żony ani dzieci nie mam, sam jestem, o nic nie dbam tak dalece.... Każ pan co chcesz, choćby głową nałożyć przyszło.

— Głowy w istocie potrzeba, ale nie na to aby nią nałożyć — rzekł Skórski. Jedno waćpanu powiem, mój Cyrkiewicz — gdyby cię pieczono i warzono w smole. mnie tu niema, nie było i waszmość nie wiesz co się zemną stało. Ludzie i rzeczy powrócą z Warszawy, im też nie nie mówić o mnie. Leśniczego jestem pewny — chłopca którego posyłam po ciebie odesłać zaraz gdzie chcesz, aby w domu nie był i nie paplał...

— To się rozumie — odezwał się Cyrkiewicz, choć jeszcze nie bardzo mógł zrozumieć całej sprawy.

— Składa się tak. że ja tu jakiś czas muszę przesiedzieć aby o mnie świat i ludzie nie wiedzieli i zapomnieli. Będą przychodzić listy. proszę odsyłać je nazad z tem, iż niewiadome wam miejsce mojego pobytu...

— A już ja sobie radę dam; — odezwał się ekonom wzdychając, ale proszę jaśnie pana, co się stało? jeśli wolno zapytać.

— Mała rzecz, głupstwo — odparł Michał — przegrało się trochę pieniędzy w Warszawie, szulery mnie podeszli... Musiałem dać weksel... niechże dochodzą kiedy potrafią... naprzód tego co weksel wydał, a potem na wiosce pieniędzy... Niema i chwili do stracenia nim się co rozpocznie, dodał. jedź waćpan do Dy-

gowskiego, temu usta pieniędzmi zamknę aby nie gadał; a trzeba zrobić tak. aby na wiosce nie było co wziąć...

Przeszedł się po izbie p. Michał jakoś już na duchu trochę dźwignięty...

— Ale tu jasnie panu trzeba co przysłać rzeczy, pościeli, ha i do życia; rzekł Cyrkiewicz...

— Chyba tak, aby w domu ani znać było co się wzięło, ani o tem kto wiedział. Rozumiesz waćpan... Jakby się wydało, że tu jestem, wszystko przepadnie. Jedź po Dygowskiego, mów z nim na cztery oczy. wsadź go na bryczkę i przywoź. Masz co pieniędzy?

Cyrkiewicz usta trochę skrzywił. Muszą się znaleźć. Sprzedam kopę sosen...

Poszeptali z sobą; ekonom chłopca dla ntrzymania tajemnicy z listem wysłał do stryjecznego brata o mil sześć, a bratu zalecił aby sobie z nim robił co chce, a do domu go nie puszczał. W godzin kilka jechał po Dygowskiego, który był prawnikiem Skórskiego oddawna. Należał on do tego kółka ludzi życie lubiących, jakimkolwiek bądź kosztem, — do którego i p. Michał Skórski się liczył. Karty, butelka. przyjemne próżniacze towarzystwo, składały się na żywot i sprawy pana Godziemby Dygowskiego. z powołania prawnika, a niegdyś młodzieńca wielkich nadziei. W istocie był to człowiek zdolności rzadkich, objęcia łatwego. wielkiej i trafnej logiki, o którą u nas niezmiernie trudno — ale wszystko to niszczyła lekkomyślność i rozpusta... Wyzwolenie z pod pewnych praw moralnych, jakkolwiekby się one mogły zdawać mniej może ważnemi, — prowadzi zawsze za sobą sceptycyzm względem praw tych w ogóle. Tym

wyłomem w sumieniu wchodzą doń sofizmata, które burzą całą jego budowę...

— Pan Godziemba-Dygowski ani się też spostrzegł lekceważąc z razu spokój rodzin i święte węzły co je spajają — dopomagając przyjaciółom do wywijania się od wypłat, długów i zadość uczynienia zobowiązaniom — jak wkrótce potem z równą obojętnością począł wszystko co pocziwe, zacne i szlachetne lekceważyć i omijać. Gotów był jako prawnik i obrońca, nie już bronić uciśnionych i niewinnych, ale uciskających i występnych. Nie było to w nim zepsuciem można powiedzieć — ale nie przebaczoną, bezwiedną płochością. W śmiech nawykł obracać wszystko, ludzi zacnych i rzeczy święte...

Gdy mógł uczynić dobrze, robił to z równą obojętnością z jaką złe popełniał. — Olbrzymie zdolności łączyły się w nim z niezmierną lekkomyślnością.

Ze Skórskim lubili się jak dwaj ludzie, którzy jedne mają wady, a nie obawiają się by sobie wzajem zawadzać mieli.

W nocy już przybywszy Cyrkiewicz do miasteczka, zastał na nieszczęście u Dygowskiego kawalerski wieczorek. Nie pokazując się wcale, aby na siebie nie zwrócić uwagi, wywołał go zręcznie i opowiedział mu rzecz całą. — Na miłość Boga, niech pan tylko nie mówi, dokąd jedzie, ja z bryczką czekam w zajezdzie krakowskim ..

Dygowski powrócił do gości ze starym listem wyjętym z kieszeni, a niby odebrany w tej chwili, i z twarzą zafrasowaną, oznajmując im że w pewnym pilnym interesie wezwany jest za Bug do Porycka... Goście dopiwszy ponczu i pokończywszy rachunki

wynieśli się zaraz do doktora Weissa, który ich zaprosił, a w godzinę Dygowski otulony płaszczem, siadał w zajeździe krakowskim na bryczkę i ruszał mianowcami do Leśniczówki.

Czekał nań z herbatą Skórski..

Uściskali się serdecznie.

— Dygowski. rzekł pan Michał. wlażem po uszy w błoto, trzeba mnie ratować. — Pierwsza rzecz mnie tu niema i nie było, pojechałem do Warszawy i — nie powróciłem. Ty nie wiesz nic więcej.

Na Brończę wydałem weksel szulerowi, który mnie haniebnie ograł na 25,000 rubli.

Dygowski syknął. — Niech cię kaci porwą.

— Niech jego porwą nie mnie, przerwał Skórski. Na Brończej jest Towarzystwo, są długi, obrachowawszy wszystko zostaje może trzydzieści albo 25.000 rs. czystych. — Otóż idzie o to aby Brończę zamazać tak aby... aby na niej nie było nic...

— Nie jest to łatwem; — rzekł Dygowski siadając.

— Dla głupich wszystko trudne, ale nie dla ciebie, mój drogi, — kończył Skórski. Mnie się widzi że antydatowany skrypt, na sumę 30,000, wniesiony do akt wszystko pokryje...

— Ale komuż go wydasz?

— Choćby tobie...

— Ja nie mogę.

Zaczęli myśleć i rzucać nazwiska... męczyli się długo, stosownego nic niepodobna było wynaleźć Dygowski gotów był do owego kondyktu, ale na swe imię przyjąć go nie mógł. Warunkiem było ażeby dług prawdopodobnym się wydawał.. Po długich naradach, nie było innego sposobu nad użycie Cyrkie-

wicza, boć nie jeden tak ekonom bogaci się kosztem pana i jego własne mu potem pieniądze pożycza: a często i z majątku wypiera. Stało więc na tem aby Cyrkiewicz zastraszyć niby zniknięciem pana. stare różnej daty skrypty. teraz wniósł na hypotekę...

Układano summy, daty i gwarząc zabawiono do wieczora. — Dygowski nasłuchiwał się opowiadania o Warszawie, wypili parę butelek wina. ściągnięto i ekonoma dla wyuczenia go roli... i Dygowski świeżemi końmi powrócił do miasteczka...

Gdy tu się tak misternie składały rzeczy, w Warszawie zniknięcie Skórskiego na pozór żadnego prawie nie uczyniło wrażenia. Generał wszedł do pokoju żony, ze złośliwym uśmiechem na ustach.

— Uciekł, rzekł krótko — poznał widać co się święci. Mniejsza o to... byle nie powracał—i byłem na jego wiosce znalazł moje pieniądze...

Generałowa stała niema.

— Dokąd że mógł uciec? nie gdzieindziej jak do domu...

Generał coś mruknął, spojrział na żonę, która w fotel upadła zamyślona, i wyszedł. W chwilę potem, wyjrzawszy oknem aby dopatrzeć gdy mąż wyjdzie do miasta, Natalia włożyła kapelusz, narzuciła zasłonkę i wymknęła się drugimi drzwiami do Teresy. Wszystkie jej plany zostały zniszczone, łyzy żalu i rozdrażnienia płynęły po jej twarzy, biegła raczej niż szła do przyjaciółki, a gdy się drzwi otworzyły wpadła tak zrozpaczona, iż Teresa przełękła porwała ją w objęcia, aby ukoić i ukołysać...

— Co ci jest znowu? moja droga? co ci się stało?

— Uciekł! jednym słowem odpowiedziała płacząc Natalia... Miałam nadzieję dobyć z niego wiadomość o mojem dziecięciu... Byłam u niego sama, błagałam... nie dobyłam z niego nic... a jednak on musi wiedzieć co z niem uczynił! Uciekł a z nim nadzieja odzyskania tej po której płaczę... Uciekł...

Mówiąc to generałowa odwróciła się, i dopiero postrzegła, że siostra jej siedziała obok i słuchała. Słyszając wyraz ten — Uciekł, porwała się nagle z krzesła, oczy się jej zapaliły ogniem, drgnęła i powtórzyła napół obłąkana.

— Uciekł — ja go ścigać muszę! On tu był... ja znajdě — dosięgnę ja jedna... Idę... znajdě.

Natalia odwróciła się ku niej razem z Teresą, ale żadne wyrazy, ani prośby, ani obietnice nie mogły jej poskromić i uspokoić. Obłąkanie zdawało się powracać z dawną gorączką.

Mnie trzeba iść za nim... wołała — ja wiem gdzie go szukać... On w Brończej, nie może być gdzieindziej, ja drogę wiem.. Gdzie on tam i ja... Wyrывая się z rąk wstrzymującym ją, otworzyła

drzwi z krzykiem, chwilę stała na korytarzu, jakby przypominając coś sobie, rzuciła się na wschody do swej izdebki... w tem Lizka nastroczyła się Natalii.

— Dziecko moje, zawołała... ta biedna kobieta kocha ciebie — posłucha cię może, idź, bież, prosz ją aby z nami została...

Dziecku tego było tylko potrzeba, pędem pobiegła na wschody. Drzwi izdebki w której mieszkała Róża stały otworem, ona w środku niej zrzucała suknie, szukając starych swoich łachmanów i kija. Na podłodze leżały porozrzucane rzeczy, które w pośpiechu pościagała z komody i łóżka...

Jakieś niezrozumiałe wyrazy, ze śmiechem konwulsyjnym mieszane, wrywały się z ust... Dziecię nieco przestraszone stanęło w progu...

— Co wy robicie... zawołało.

Srebrny głoszek dziecka przejął ją strachem. drgnęła i krzyknęła...

— Co ty tu robisz, dziecko—zawołała wybuchając łkaniem. Po coś tu przyszła patrzeć na nieszczęśliwą... W twoim wieku tyś znać niepowinna, że są takie dole na świecie i takie jak ja istoty... Idź — dziecko moje, uciekaj ztąd... zostaw mnie. Bóg z tobą... idź.

Z rękami obiema wyciągniętymi zdawała się ją odpychać. Dziecię patrzyło ciekawie, przelekłe nieco, lecz że mu wstrzymać ją kazano.

— Nie pójdę ztąd — rzekła Lizka — musicie się uspokoić, zostać... bo ja was nie puszczę... Ja wiem co was może uspokoić... Zmówimy litanią razem... Prawda?

Róża się wstrzęsła .

— Niegodne w tej chwili usta moje i serce z tobą razem się modlić. Idź dziecię moje... Mnie nic wstrzymać nie może, mnie ciągnie przeznaczenie, mnie woła głos, którego słuchać nawykłam...

Dziecko się zamyśliło.

— Ale nie — ozwała się zbliżając z wolna do biednej obłąkanej i przemagając wstręt a obawę — żadnego głosu niema... nic nie ciągnie... potrzeba się pomodlić, usiąć spokojnie... Ja tu przy was na stoleczku siadę... nie dam wam o smutnych rzeczach myśleć i tak to przejdzie.

Słuchając szczebiotania tego, pod urokiem jego stała obłąkana łagodniejąc i napawając się mową dziecięcą.

Zdawało się nawet że ulegnie... Posłusza, zaprzestała zrzucać suknie, okryła się, usiadła. Szczęśliwa ze swego tryumfu Lizka wzięła stołeczek, przysunęła się ku niej i patrząc jej w oczy ciągle swe rady powtarzała.

— Tak to dobrze, ja was będę kochała i mama i piękna ciocia generałowa... Tylko niętrzeba tak smutnie wykrzykiwać... bo może to bolić i mamę i ciocię... Żebyście wiedzieli jak desperują...

— Moje dziecko, z uśmiechem rzekła przychodząc do siebie i płacząc razem Róża — po cóż ja tu komu? Wszyscy boicie się mnie, waryatki — ja sama siebie się lękam... Naco ja komu potrzebna? Zawadą jestem i ciężarem ..

— Otoż nie, kiedy pani grzeczna, to panią jak mnie, wszyscy kochają, i ja — bardzo.

Róża chciała się schylić by ją pocałować; myślała że w dziecku wstręt obudzić może, wstrzymała

ją — płakała po cichu, ze łzami trochę gorączki spłynęło. Lizce pilno było się swoim tryumfem pochwalić, ale nie śmiała odejść czując instynktowo, że z nią może ustąpić wrażenie. Siedziała więc, nie bogata w słowa, powtarzając jedne, a Róża słuchała więcej dźwięku jej mowy niżeli tego co mówiła...

Minęła chwila — weszła generałowa i Teresa. Zobaczywszy ten cud stanęły obie z daleka... obłąkana zarumieniła się. Spojrzenie na siostrę zdawało się nagle przywozić jej na pamięć wszystko co od niej słyszała — wzruszenie wracało... Lizka patrząc jej w oczy... położyła paluszek na nosku i groziła.

— O! znowu! znowu! zawołała... a ja was proszę być spokojną...

Natalia chwyciła dziecię w uścisk, przysiadła do niej na ziemi z czułością i łzy mając w oczach szeptała...

— Czemuż z tą niewinnością aniołka — dziecięcia, zostać na całe życie nie można... czemu nas tak psuje świat... czerni każdy dzień sadzą spalonych myśli. O dziecię moje — bądź jak najdłużej dziecięciem..

— A! proszę pani — przerwała Lizka naiwnie, a ja właśnie takbym prędko, prędko chciała wyrosnąć...

Smutny uśmiech przebiegł wszystkie twarze. Ten epizod z wychowanką zdawał się szczęściem oddziaływać na Różę. Szał w który była wpadła, ustępował... Nie mówiono tylko o dziecięciu i o rzeczach obojętnych. Nareszcie generałowa przystąpiła do siostry, szepcząc cicho.

— Róžo, proszę cię... bądź spokojną... Spuść się na mnie... Nie uciecze on przed nami, ty go ścigać nie potrzebujesz...

Jakby przyjmując naukę i rady, nie odpowiedziała na nią nic Róża i spuściła oczy. W przekonaniu iż nic już nic nie zagraża siostrze, Natalia zabrała się powracać do domu... Lizka i panna Teresa zeszły na dół. bo się na wieczór spodziewano profesora. Uciszyło się wszystko w domu ..

Dziecię po kilka razy biegało na górę, podsłuchiwać pode drzwiami Róży, ale cicho było w jej izdebce... Sądzone iż znużona, pomodliwszy się poszła na spoczynek. Nazajutrz rano nie znaleziono jej nigdzie. Na stos zrzucone suknie, z których najniebezpieczniejsze wybrała, świadczyły że opuściła mieszkanie, że szła dawny znowu nią owładnął.

Stało się to jeszcze z wieczora, gdy profesor czytał pannie Teresie jeden z dramatów Wiktora Hugo; — po wschodach na palcach spuściła się uboga ubrana kobieta, — zatrzymała chwilkę u drzwi, żegnając je wzrokiem, i spiesźnie dobiegłszy do bramy, wyruszyła na ulicę. W sąsiednim szynku, przed którym stały dorożki i gdzie woźnice popijali „trosk zapomnienie“ — Róża z gorączką długo hamowanego nałogu dopadła kieliszków...

-- Dajcie! zawołała cicho nie patrząc na nikogo.

Gospodyni z litością na nią spoglądając nalała. — kobieta ręką drżącą poniosła do ust, wychyliła duszkiem, rzuciła pieniądze na stół i uciekła...

Śpiewając poszła w dalszą drogę ulicami. I przeszła most i Pragę, i nocą pociągnęła dalej a dalej, ku znanym polom i lasom...

Kilka dni trwała ta podróż, przerywana odpoczynkami po karczmach i snem, po szopach. z węzkiem pod głową. Ze stajni woźnice ją wypędzali, biczami smagając; na drodze patrzano za idącą... Gdy ludzie na nią oczy zwracali, zwykle stawiała, biorąc się w boki dumnie i łajła. Snem, marzeniem, bólem, wędrówką machinalną. spoczynkiem po lasach na mokrej ziemi, przeszły kilka dni włóczęgi aż do znanego miasteczka. Tu już była jak w domu, znano ją — i gdy się pokazała wśród pierwszych domostw. a psy na nią ujadać zaczęły, przybiegały dzieci wołając — potańcuj nam Cześnikówno! zaśpiewaj panno Rózo! a na wołanie dziecinne zrywała się do skoków, i śmiała się małym prześladowcom.

W karczmie Chaim stary dziwił się zobaczywszy ją, mieli bowiem Cześnikównę za umarłą, i wieści chodziły że się utopiła. Siadła na ławie zmęczona.

— A gdzież to panna bywała? Spytał Chaim, że jej tu tak długo widać nie było?...

— Po świecie chodziłam, po świecie wędrowałam, a co komu do tego? Przyjmowali mnie pięknie krewni w Warszawie, i opływałam we wszystko. ale mi się za wami i za lasami stęskniło... taki bo to niema jak swoboda...

— Żydzie, daj no wódki!

— A jest czem zapłacić? zapytał Chaim niedowierzająco.

— Kiedyżem to ja ci się zadłużyła? ofuknęła Róża. Szabasówki daj, żeby jak ogień paliła...

Żyd przyniósł posłuszny.

— Co tu u was słyhać? spytała. Kto umarł, kto się urodził, a kogo lichu wzięło... Cóż pan z Brończej? czy już zdrów?

— Pojechał ci dawno do Warszawy, rzekł żyd. i słyszę konie i ludzi odesłał, sam nie powrócił.

Róża rozśmiała się.

— A gdzieby się podział! zawołała... gdzieś on tu musi być! ho! ho! Jak go tam nie stało, to go tu szukać...

— A zkądże panna wie że go tam nie stało? zapytał żyd zdumiony...

— Bo ja wszystko wiem—odparła Cześnikówna—na jawie tom głupia albo pijana, a no we śnie wszystko widzę jak na dłoni! Ho! ho! on tu gdzieś być musi!

Ruszył żyd ramionami... Cześnikówna znużona ręce podłożyła pod głowę i zasnęła na stole, a spała tak do nocy. Chcieli ją wyrzucić z karczmy ale się nie dała. i pozwolili jej tak spać do rana... Jak świt poczęto dzwonić w kościółku, Cześnikówna oczy przetrzała, obejrzała się po izbie, westchnęła i wyszła... Ranek był szary, mglisty i smutny. dzwonek jęczał żałobnie, około kościółka oprócz dziadka nikogo... Róża weszła na cmentarz a z niego do kościółka, klękała w kruchcie i z podniesionymi rękami poczęła się modlić prawie głośno i płakać...

Wyszedł ksiądz ze mszą świętą, na kolanach wpęzła do kościółka... Tu padła krzyżem i leżała przez mszę całą. Odprawiał ją trochę teraz zdrowszy ksiądz proboszcz staruszek, który zobaczywszy Cześnikównę, gdy wyszedł do zakrystyi, posłał po nią organistę. On jeden był wtajemniczo-

nym, on jeden tu znał jej dzieje i przebolełe dni ciężkie.

Z nim ona jednym mówiła inaczej jak z ludźmi ale jego unikała... Tym razem powlokła się zawołana. stanęła we drzwiach na kiju oparta i milcząc czekała pytania.

Łagodnie przystąpił ku niej starszek.

— Bóg z tobą, rzekł swoim obyczajem — co się stało wam, gdzieście byli tyle czasu, myślałem że nareszcie Bóg się nad wami ulitował i dał wam kął spokojny, abyscie tej włóczęgi poprzestali..

— Gdziem ja bywała, trzęsąc głową odezwała się Róża — a mój ojczel! ja sama nie wierzę sobie gdy myślę gdzie to ja zaszłam, gdziem była i jak się tu nazad dostałam...

Zaczęła wzdychać, trąc twarz ręką...

— Chodziłam za tym djabłem co do Warszawy ojechał, bo mi pan Bóg przykazał ażebym się za nim włóczyła, jak mara aż do śmierci...

Głos zniżyła.—Znalazłam tam siostrę, (poczęła się śmiać) chcieli mnie z nim ożenić, ale uciekł a ja za nim znowu, bo muszę—bo muszę...

— Jego tu niema—odparł ksiądz, i już by ci dosyć było tego wałęsania się po świecie...

— A! nie — odparła kobieta — kiedy pokuta to pokuta... muszę za grzech pokutować, a już ciężej niepodobna jak ja... Poszedł on i ja za nim.. On to musi być! Ja go znajdę — kryje się, ale to nic nie pomoże, ja go i w piekle wyszukam...

— Gdzież by był? i dla czego by się miał chować? rzekł starszek.

— Albo ja wiem! Złakł się generałowej — rzekła Róża, bo moja siostra teraz generałową! dodała. Jedne losy a nie jedno szczęście... ale i ona nie w raju. Nie!..

— Dawno was bardzo nie widziałem. przerwał staruszek... Obwiniali was tutaj żeście wy pono konia mu nastraszyli w nocy umyślnie. gdy się o mało nie zabił? A godzi się to?

— Ojczy kochany, schylając się do sukni staruszka i całując ją zawołała Róża — powiem jak na spowiedzi.. Koniam ja nie straszyła, alem pana za nogę z niego ściągnęła... myślałam że się o drzewo rozbije... alem tego nie dokazała.

Ksiądz ręce załamał.

— I śmiesz potem modlić się w kościele, ty co nauczona bożkim przykładem nieprzyjacielowi przebaczyć nie umiesz, a ścigasz go niepoczciwą zemstą swoją.

— A kiedy mnie pan Bóg na to przeznaczył, odparła żywo Cześnikówna. Pamiętam jak dziś, a było to pawno. gdym jeszcze płakać umiała i usnęłam z płaczem... Zjawił się przedemną starzec w światłości i rzekł mi: — Idź i mścij się nad nim, a nie opuszczaj go aż do zgonu...

— Sen, mara! głupstwo! z oburzeniem zawołał proboszcz... Jak możesz pleść takie rzeczy... Dość już tego obłędu i szaleństwa... dość. — Cierpiał on, cierpiałś ty... Bogu zdaj sprawy swoje... Znajdę ci przytułek.

Kobieta głową trzęść zaczęła i bić się w piersi.

— Ojczy, dobrodzieju! nie mogę! Mnszę się za siebie mścić. za siostrę. za jej dziecinę, którą gdzieś

ten człowiek zaprzepaścił, i za matkę co z rozpaczy umarła. O tego nie dosyć...

Proboszcz był oburzony w końcu.

— Niepoprawiona jesteś, zła... Patrz, zawołał, żeby ci Bóg tak kiedyś twoich win przepuścić nie chciał, jak ty nie przebaczasz jemu...

— A toć ja wiem że w piekle gorzeć muszę—westchnęła Cześnikówna, ja i tu już początek jego mam na ziemi. i byle on tam był także, byłem mogła patrzeć na jego męczarnie. to mi i piekło osłodzi...

Podniosła głowę śmiejąc się; — szal ją opanowywał.

— Niech się już dobrodziej nie męczy dla takiej jak ja grzesznicy — dodała... takiej duszy jak moja i anieli z błota nie wyciągną... Do nóżek się ścielę... ojca dobrodzieja... Niech będzie pochwalony...

To mówiąc otworzyła drzwi zakrystyi i uciekła..

W Brończej nie było ani słyhu o panu;—z Warszawy przyszły pisma urzędowe. które nazad zwrócono z poświadczeniem urzędu, iż o miejscu pobytu p. Michała Skórskiego nie wiadzano.

Tymczasem Cyrkiewicz z wierzytelnościami jakie na Brończej miał poszedł do sądów i umiał tak chodzić około swej sprawy, że z pomocą Dygowskiego

na majątku sekwestr położył, a wieś dostał w administracyą. Przeciągnęło się to nieco. Przysłano z Warszawy w imieniu generała pozew o dług, ale gdy przyszło go mieścić na hipotecę, nie było już nań w Broniey nic oprócz ruchomości, które licytowano za podatki zaległe, a Cyrkiewicz stając do licytacyi wszystko zakupił.

Umocowany generała dał mu znać, że darmo by kosztąłożył, bo tu już z próżnego nie było co nalewać.

I znowu przez czas jakiś cicho było.

O panu Skórskim najrozmaitsze chodziły wieści, że uciekł za granicę, że w drodze życia sobie odebrał, że do klasztoru wstąpił, — słowem plótł każdy co kto chciał... a nikt o niczem nie wiedział... Gdy nastala wiosna i początki lata, ekonom objeżdżając lasy spotkał w nich znowu dawniej już widywaną Cześnikównę. Cała jej historia była mu dobrze wiadomą.

Właśnie do Leśniczówki, do Skórskiego, z raportem jechał, gdy zboczywszy w las bo mu się zdało że siekierę usłyszał. w dziupli starego dębu. w którym Róża obrała sobie oddawna mieszkanie letnie, zobaczył ją wyglądającą z głową kwiatkami upstrzoną. Cześnikówna. która nie dawno do tego schronienia wróciła z leśnej karczemki, na widok Cyrkiewicza uśmiechnęła się. a on podniósł bat w górę i zakrzyczał:

— Tylko ty mi się tu tłucz po lesie, stara wiedźmo! dam ja ci!

— A nie widzisz ślepy krecie, zem dziś ja panią tutaj...

Cyrkiewicz poczerwieniał od złości.

— Ja cię tu w lesie nie ścierpię...

— Kochanie moje... Krwi sobie nie psuj... ja tu siedziałam tyle lat i siedzieć będę... Cóż ja ci złego robię... trochę jagódek narwę, grzybka sobie na suchych gałązkach upiekę — i po wszystkim... Gdybyś miał sumienie to byś mi dał pokój... a jak mi dokuczasz... to naślę ci chorobę, zaczaruję, zawiążę węzła w zbożu na twoją głowę i kaci cię wezmą, tak jak twego pana...

Cyrkiewicz który się niczego nie bał i stawał z oszczepem na niedźwiedzia nie drgnąwszy — czarówsię lękał; pogroził więc tylko ręką siedzącej w dziupli Róży i odjechał powoli. Ona śmiała się i za odalającym śpiewała: — A nie bądź okrutnym, srodze bałamutnym, kochanie... Nie rzucaj niebogi w tym stanie!!

Długo jeszcze piosnka i śmiech brzmiały mu w uszach...

— A czego on u kata mało nie codziennie jeździ do Leśniczówki! poczęła, wyglądając za nim, myśleć Cześnikówna. W tem coś jest. Chyba tam kochankę ma. ale by jej przecie nie ukrywał, trzymał by ją we dworze!

Myśl jak błyskawica przeleciała jej po głowie, wychyliła się ze swego dębu... i po narościach spuściła się na dół... obejrzała dokoła po drzewach aby bez drogi trafić do chaty leśnika, i cicho, nie odzywając się, przekraczając, po woli pociągnęła lasem, kierując po znanych sobie bagnach, zawałach i uroczyskach.

Cyrkiewicz jechał drożyną, która okrążała moczary i błota. Cześnikówna знаła tak dobrze miejsca,

którymi prawie sucho przejść było można. że o pół sobie drogę skróciła, gdy się znalazła nieopodal chaty leśnika, jeszcze ekonoma tu słyszać nie było.

Leoniczówka stała w starym borze ale gęsto podszytym krzakami leszczyny i kaliny... Łatwo się tam było zacząć i podkraść, bo ją tylko z tyłu płot i mały ogródek otaczał, na którym trochę nędznego rosło warzywa. Wybrawszy sobie miejsce dogodne, Cześnikówna zasiadła naprzeciw drzwi samych, aby widzieć mogła co się w dzień dzieć będzie. W prawdzie zaraz po jej przyjściu, gdy zaszeleściały gałęzie jeden z gończych psów leśniczego, wybiegł przed próg i szukać począł—lecz wprędce ziewnąwszy wstał i na przyźbie się położył, gdzie słońce pięknie grzało. Nie rychło dopiero tentent konia oznajmił nadjeżdżającego Cyrkiewicza, który świszcząc. powoli się zbliżał. Pies zerwał się znowu, szczeknął i siadł nastawiwszy uszy... Na ścieżynce ukazał się pan ekonom, a ze drzwi Leśniczówki wyszedł naprzód gospodarz i wyjrzał, potem zapewne znać dał panu, bo też i pan Michał w sukmance, z cygarem w ustach, stanął na progu...

Cześnikówna zobaczywszy go o mało nie krzyknęła z dzikiej radości, powstrzymała się jednak, ręką cisnąc usta... oczy jej pałały dziko, przychyliła się aby widzieć lepiej i słyszeć mogła.

Cicho było dokoła, małym wiatrem poruszane wysokie sosny ledwie głucho szumiały w górze; każde więc słowo wyraźnie do uszn jej dochodziło.

Cyrkiewicz zsiadł zdejmując czapkę, papiery jakieś miał w kieszeni.

— Jak się masz — rzekł Skórski postępując ku nie-

mu — coż Dygowski? co z Warszawy? jak tam sobie rady dajecie?

— A nic — odparł ekonom — złego, chwała Bogu, niema nic — po staremu! Generał nas papierami obsyła, ale mu to się na nic nie zda... Myślę że w końcu da nam pokój.

— Ależ tak wiecznie trwać nie może, — zawołał Skórski. ja się tu uduszę w tej Leśniczówce. Za próg nie śmiem się wychylić, zapolować nie mogę chyba późnym wieczorem aby mnie kto nie zobaczył... umierac trzeba z nudów, a jeden Dygowski coby przez liść powinien zajrzeć, nie przyjeżdża.

Cyrkiewiczowi na myśl przyszła Cześniówna. którą świeżo widział i namyślał się czyby o niej pana nie przestrzedz. Wiedząc wszakże jak go ona niecierpliwiła i drażniła, a nawet wspomnienie o niej było mu nieznośnem, i zważając że z chaty nie wychodząc spotkać się z nią nie może, — wołał zamilczeć.

— Dygowski, rzekł, nigdy czasu nie ma... Prosiłem go ale mi powiedział — nie tak to łatwo...

— Przecież to się raz jakoś skończyć musi, mówił Skórski ziewając, nie mogę tu na pustyni życia dokończyć. Trzeba coś poradzić.

Usiadł na przyźbie p. Michał.

— Siadaj Cyrkiewicz, rzekł — ja tu dni i nocy medytując coś wymyśliłem: trzeba byś o tem pomówił z Dygowskim...

Ekonom słuchał z wielką uwagą.

— Generałowi się sprzykrzy wreszcie płacić i posyłać. Gdy się przekona że tu dla niego niema nic, trzeba go zażyć z mańki. Pojedziesz waćpan do Warszawy. Jesteś tak jak dziedzicem Brończej, chcesz

być spokojnym. wejdiesz z nim na swoją rękę o nabycie długu... Dasz mu do kata, odczepnego pięć tysięcy rubli, dostaniesz odemnie za fatygę trzy—i interes będzie ubity... Gdy dług przeleje na ciebie, przynajmniej z nory będę mógł wyjść...

— Byle się na to zgodził naprzód Dygowski, potem ten przeklęty generał — odezwał się ekonom, bardzo by to była dobra rzecz...

— Mnie tu już i cierpliwości brak i zdrowia—zawędzę się, mówił Skórski—nie wytrwam...

Mówili tak z sobą długo, a Czesnikówna słuchała... Nie ruszyła się, nie drgnęła, aby się nie zdradzić, przeczaiła, przypadła i wyczekawszy gdzie Cyrkiewicz na koń siadł, a pan Michał nazad poziewając do Leśniczówki wszedł, dopiero się rozprostowała. Chciała na tryumf zaśpiewać, ale się powstrzymała; uśmiechała się tylko sama do siebie głaskając ręką po twarz.

— Jaka ty, kochanie moje, rozumna, mówiła sama do siebie.—tylkoż miej taki rozumek do końca...

Cichutko z krzaków się wydobywszy, puściła się znowu borem, ku swojej dziupli, w której zwykła była nocować... Tu wlaższy, zwyczajem swym ukłękła, pomodliła się, potem łachmanami okryła i w pół siedząc, pół leżąc, z głową o wypaloną ścianę dębu opartą... usnęła, a przez sen śpiewała i mruczała noc całą.

Promienie wschodzącego słońca, wdzierając się do lasu przez wydarte polanki, zbudziły Różę... Wstała prędko, spuściła się z wyżyny i szła dróżyną, która prowadziła od lasu do Bronczej i od miasteczka...

Nie była jeszcze pewną co ma uczynić, ale jej słodko było że znowu ma w ręku nieprzyjaciela... Traf

ją wprowadził na drogę, siadła pod krzyżem... czując się zmęczoną...

Drogą słyhać było szybko jadącą bryczkę pocztową ku Brończej. Spojrzała... Siedział na niej ogorzały, niemłody mężczyzna, niemiłej twarzy.. Zobaczywszy żebraczkę przy krzyżu, kazał zatrzymać konie...

— Dobrze tędy do dworu? zapytał rzucając jej kilka groszy.

— Do Brończej? a juściel! odparła żebraczka, ale tam pana niema...

— Podróżny ramionami ruszył... dał znak woźnicy i jechał dalej. Cześnikówna wstała i także się w tę stronę powlekła...

Był to generał Hochwarth przybywający sam dla wyzyskania swojego długu i obejrzenia wioski.

Miał zamiar ją nabyć, domyślając się konduktu jakim ją okryto... Rachował na to że broniąc wsi, coś mu zapłacić będą musieli. Gdy bryczka pocztowa zatoczyła się w dziedziniec, trawą porosły i zdziczałemi chwastami, Cyrkiewicz stał przed oficyną z fajeczką. Z opisu Skórskiego domyślił się generała. człowiek był bystry i długiego czasu nie potrzebował by wiedzieć jak ma sobie postąpić.

Hochwarth wydobywał się z bryczki...

— Czy pan tu jesteś gospodarzem? zapytał...

— A tak... Cyrkiewicz jestem...

— Bardzo się cieszę. ja generał Hochwarth; domyślasz się waćpan z czem przybywam...

— Z czem to ja wiem, ale zdaje mi się panie generale, że fatyga daremna. Z próżnego nikt nie naleje...

— Zobaczymy—odezwał się Hochwarth. — Wioska na licytacji może pójść wyżej niż się zdaje — a bez sprzedaży jej się nie obejdzie.

Cyrkiewicz zmilczał. Chciał być grzecznym na wszelki wypadek wzięwszy klucze od zamkniętego domu, bo sam w oficynie z nałogu mieszkał. wprowadził do niej pana generała.

Pusto tu było, zatęchło i nic do czasu wyjazdu Skórskiego nie zdawało się poruszonem.

— Gdzież się wasz pan, były dziedzic mógł podziąć — odezwał się generał, postarałem się o listy gończe za nim. Dotąd go nie odkryto? Jak pan myślisz?

— Nie umiem odgadnąć; — zimno odparł Cyrkiewicz — świat szeroki. Któż zresztą wie czy jest przy życiu...

Mówił to tak naturalnie, iż niktby go nie mógł posądzić nawet, że wczoraj z nim rozmawiał.

Przyszła mu właśnie na myśl ta rozmowa i zdało mu się, że właśnie teraz może postąpić wedle życzenia Skórskiego.

— Dla nikogo to — mówił — nie jest smutniejszem jak dla mnie. Utopiłem tu całą moją krwawicę, ani dziedzic, ani dzierżawca, wieczny niepokój... Już gdyby można choć z licytacji nabyć bardzo bym rad...

— Ale i ja do licytacji stanę—dodał generał...

— A panu to na co? spytał Cyrkiewicz...

— Wioska mi się podoba.—Polowanie lubię. mówią że są lasy... Pieniądze leżące mam...

Spojrzeli sobie tedy w oczy, Cyrkiewicz uczuł że to był gracz. któremu on nie sprostą. Hochwarth

począł rozpytywać o gospodarstwo, o szczegóły, naturalnie w jak najgorszym przedstawiające się świetle... Nic go to nie zrażało...

W parę godzin przybyli urzędnicy, których generał wezwał, przyjechał i Dygowski jako dawniej umocowany przez dziedzica. Ten mógł się mierzyć z generałem, i Hochwarth wybadawszy go trochę... odciągnął na bok...

— Wioskę doprowadzę do licytacji i kupię, — rzekł — czuję w tem matanię...

— Niech pan kupuje — odpowiedział Dygowski, niech pan pędzi — wieś dobra... ja nic przeciwko temu nie mam...

Zbił go z tropu tą obojętnością.

— Gdzież się Skórski podział? pytał w końcu — jak się panu zdaje?

— A cóżby on poradził, choćby tu i był? odezwał się mecenas. — Ja dawno w nim widziałem zniechęcenie do życia — sądzę że je sobie odebrać musiał...

Rozmowa cały wieczór obracała się tak w kółku jednym, z którego wyjść nie mogła. Dopóki dzień był oglądano zabudowania, pola, rozpatrywano inwentarze. Hochwarth oświadczył, że pozostanie w miasteczku aż do licytacji i że przynaglić doń musi. Na tem się skończyło wszystko, a nazajutrz rano w istocie generał odjechał i rozkwaterował się u znajomego nam Chaima... Przybycie jego, nie tajny powód, poruszały całą okolicę. Skórski miał tu wielu przyjaciół, którzy naturalnie więcej za nim niż za jakimś przybyszem ciągnęli. Nie miał więc generał nikogo coby mu szczerze chciał pomagać; płacił, naglił, jeździł i prosił, spotykając twarze obojętne.

Siedząc tymczasem w małej mieścinie, w której nikogo nie było oprócz proboszcza i wikarego, gdy on z duchownymi jakoś wcale obcować nie miał — nudził się pan generał okrutnie; Cyrkiewicz zaglądał doń, lecz w układy się wdać nie było można. — Jątrzyła go ucieczka Skórskiego nie tylko jako wierzyciela, lecz i jako człowieka co w życiu żony jego odegrał rolę, która Hochwartha do zemsty budziła... Po długim awanturowaniu się i przygodach, chciał zająć w społeczeństwie pewne stanowisko poważniejsze, a myśl ta że ktoś na żonę cień mógł rzucić, niepokoiła go i oburzała. Zdawało mu się, że pamięć jej przeszłości zatrzeć potrafił równie jak swojej, starał się o stosunki, a choć natura dobywała się z niego czasem, jak w grze z p Michałem, umiał te wybryki pokrywać różnemi pozorami i był pewien, że świat mu ich za złe mieć nie będzie. — Gdyby był pewien samobójstwa i zniknięcia wiekuistego Skórskiego, znacznie by się czuł spokojniejszym, lecz nie mógł w to uwierzyć, instynktowo poznawszy w nim człowieka, który nie miał tyle energii w sobie ażeby się na własne targnął życie.

Całe dni spędzał Hochwarth, to na nieznośnej gadaninie z Chaimem, który mu stare opowiadał dzieje okolicy, to na przechadzkach za miasteczko ku lasom... przypominającym mu potroszę amerykańskie puszcze.

O panu Michale mowa niemal była co dnia. Żyd znał go oł dziecka... Z początku nieco oszczędzał Skórskiego, ale powoli dobywały się różne o nim zeznania, które go w oczach Hochwartha coraz dobitniej malowały. Żyd stary był niepospolitym ludzi

znawcą i sądził ich w sposób bardzo prosty, nie ulegając żadnym złudzeniom.

Jednego wieczoru rozgadali się jakoś więcej i szczerzej niż kiedykolwiek. Chaim był w dobrem usposobieniu i gadatliwy, co mu się nie zawsze trafiło.

— Co to się dziwować, rzekł. że on tak mizernie skończył. Proszę pana generała. nie obrażając nikogo. albo to inaczej może być, kiedy człowieka młodego pieczyotami popsują? Stary Skórski chorowity był i w łóżku znaczną część życia kawęczał, jejmość robiła co chciała, a z jejmością jedynak robił co zapragnął... To było takie rozpuszczone dziecko, że się po niem jeszcze co-gorszego spodziewać było można. Piętnaście lat miał. jeszcze szkół nie skończył. a już takie na wsi życie prowadził. że i starszyby nie wytrzymał z nim. U niego tylko konie, butelka. psy i jeszcze coś gorszego było na myśli, a przed matką, pokorną minę zrobiwszy i pocałowawszy ją, wyklamał się i uniewinnił.

Ona wszystko znosiła. byle Michasiowi było z tem dobrze. i bodaj w końcu tę powolność życiem przyplącała...

— Jakim sposobem? zapytał generał.

— A! to już dziś stare dzieje — rzekł żyd. a mnie przykro sobie usta tem walać... O pięć mil od Bronieży żył niejaki pan Cześnik, który całą swoją wioskę i żony posag przechował i przemarnował... Albo to u nas osobliwość! — Została po nim wdowa i dwie córeczki... Musiała się do miasteczka wynosić bo jej nic nie zostało oprócz dzieci. których wychować nawet nie mogła. Ludzie z litości przysłali jej to krup. to mąki i żyła pokornem z jałmużny. — Były podobno

z panią Skórką czy w dawnej przyjaźni, czy w pokrewieństwie. dosyć że litując się tych dzieci, Skórska je do domu zabrała, obiecując wychować i sama się zajmować niemi. Dziewczęta były śliczne, a pan Michaś prędko się tego dopatrył.

Żyd. jakby mu nie miło było mówić o tem. westchnął i zamilkł chwilę. Generał wstał dziwnie poruszony i zbliżył się do niego. Znać go historia ta nad miarę zajmować zaczynała.

— I cóż się tedy stało? zapytał.

— A co mogło się dobrego stać! odparł Chaim... Skórski przyjeżdżał ze szkół na święta i na wakacje i bałamucił. One były jeszcze prawie dziećmi... On już gorzej zepsuty był niż inni w jego wieku. Matka na wszystko była ślepą... I stało się nieszczęście... Skórska je odesłała do matki, która z bólu i żalu umarła .. a i ona nie długo ją przeżyła...

P. Michał sierotkę na wychowanie wziął. bo się z żadną żenić nie chciał. — a i to dziecko niewiedzieć gdzie się podziało...

Chaim ręką w powietrze zamachnął i umilkł...

— Zmarnowały się dziewczęta.... jedna poszła w świat. zapła się i obłąkana dotąd się tu jeszcze włóczy... z drugą nikt nie wie nawet co się stało... Gadali ludzie że była aktorką w teatrze!...

Generał stał niemy słuchając, napróżno starał się być obojętnym, żyd poznał jak go to oburzało. — lecz nie dziwił się, bo i w nim wspomnienie to budziło bolesne uczucie.

Łotr! rzekł Hochwarth krótko...

— I za to go pan Bóg pokarał, dodał Chaim. bo za sioroce lży karze pan Bóg. — Zmarnowało się i jemu

życie, i nędznie i przeszło w kłopotach i strachu. Po wielu latach wróciła jedna z tych dziewcząt. w łachmanach, odarta, rozpojona. na pół obłąkana i nie dała stąpić Skórskiemu żeby go nie prześladowała sobą. Nie było sposobu ani się jej pozbyć. ni odpędzić; — kryła się w lasach, szpiegowała, poprzysięgała że gdyby się ważył żenić to go od ołtarza odciągnie. Nie dała mu dnia przeżyć spokojnie... Nareszcie w roku przeszłym, mówią ludzie że w nocy go w lesie napadła. i z konia ściągnęła, tak że padłszy na pień o mało się nie zabił. — Po tej chorobie uciekając od niej pojechał do Warszawy. ale i Cześnikówna znikła, i powiadają że za nim i tam poszła... Teraz znowu się tu włóczy...

— Dziwna historya! przebaknął generał. tedwie mogąc poskromić wzruszenie. dziwna historya. — Mówiłeś o dziecięciu. hm? zapytał niby obojętnie. to było pewnie dziecko tej waryatki...

— Przepraszam, jasnego pana — właśnie że tamtej drugiej, o której nikt nie wie co się z nią stało.

— I dziecko to zginęło.

— Co się z niem stało, nie można dosledzić.—Wziął je Skórski do siebie, obiecując wychować za własne. ale mu i wstyd było i zawsze myślał się żenić, a dziecko zawadzało... Jak tylko matka poszła w świat, małego jeszcze się pozbył, dał słudze na ręce i wyprawił z domu. Odtąd ni sługi, ni dziecka nikt nie widział. ani o nich słyszał.

W milczeniu wysłuchawszy powieści, Hochwarth zadumany poszedł się w krzesło.

— A ta obłąkana żebraczka znowu tu wróciła? rzekł po chwili.

— Już dawno; jak tylko jego w Warszawie nie stało. przyszła tu, zapewne spodziewając się go znaleźć. I jeżeliby kto mógł go wyszukać to ona...

Żył ramionami ruszył.

— Ona tak zdaje się waryatka, obląkana. a jak się upije to skacze i śpiewa od rzeczy, — ale jak jej trzeba mieć rozum to ona go ma!... Wyszpieguje, jak policyant, — z pozwoleniem pańskim — mówił Chaim. będzie trzeźwa, będzie głodna; pójdzie nie wiem wiele mil piechotą.. Już ją Skórski chciał kazać zamknąć...

— Ona tu przychodzi czasem do miasteczka? zapytał cicho Hochwarth...

— Mało nie codzień. Ja ją jasnie panu pokażę. bo ona u mnie pije... A złego słowa sobie powiedzieć nie da... złaje choćby największego pana. To jest bardzo nieszczęśliwa kobieta...

Po rozmowie Chaim odszedł. generał myślał długo...

— Tego lotra mi trzeba nieodmiennie dostać w ręce. Natalia nigdy mi nic nie mówiła o dziecku... kto wie gdzie je podział? Może się kiedy odkryć? Zapisane być musi w metrykach, pozostały ślady... Szkaradna historia — i ja mam przyjemność być w nią wmieszany... rzekł śmiejąc się gorzko.—To miło...

Nazajutrz rano generał, który nie lubił księży, ale w potrzebie do każdego się zastosować umiał, poszedł z nudów zapoznać się ze starym proboszczem... Opowiadał mu o misjach w Indyi i Ameryce.. a że go to niewiele kosztowało, grał rolę bardzo gorliwego katolika. Narzekał na interes, na przymusowy pobyt w małej nieścinie, dotknął wreszcie interesu ze Skórskim, samego Skórskiego i przyznał się przed starusz-

kiem, iż mu Chaim całą historią opowiedział.

— Proszę księdza kanonika — dodał tytułując starszka w nadziei, że go to połączce, — cóż się stało z tem dziecięciem...

— Nie wiem, odparł proboszcz — sądzę że gdzieś na wychowanie oddane, bo o nic gorszego nie mogę go podejrzewać.

— A metryka tego dziecięcia? zapytał Hochwarth — wszak w księgach być musi? z wymienieniem imienia matki?

— Musi się w nich znajdować, bo dziecko sam chrzcilem — rzekł staruszek. i wypisałem je z obowiązków...

Hochwarth zamilkł, nie miał żadnego powodu wydobywania tej metryki, a nie chciał na siebie ściągnąć podejrzenia. Zaczął potępiać Skórskiego i z pogardą się o nim wyrażać.

Ksiądz zmilczał.

— Panie generale — rzekł w końcu — winien ten człowiek wiele, to pewna — lecz i pokutował dosyć. Szkoda tylko, iż go cierpienie nie opamiętało ni nawróciło. Ta nieszczęśliwa obłąkana zatrula mu życie. Trudno zrozumieć i uwierzyć, ażeby uczucie zemsty w człowieku mogło trwać tak długo, tak gorąco, tak niemal jeszcze wzrastające z wiekiem a nienasycone...

— Jegomość dobrodziej jako duchowny — odpowiedział generał z wyrazem namiętnym, wolnym jesteś od takich uczuć i nie pojmujesz ich nawet, — spędziwszy świątobliwe życie na poskramianiu ich; ale my ludzie świeccy, słabi, ułomni — rozumiemy jak trudno przebaczyć temu, który się nie upokorzył i nie ugiął...

— Dajmy mu pokój — zakończył proboszcz, może już nie żyje. — Odpowie na sądzie Bożym. sąd ludzki powinien być łagodnym — Bóg z nim! Bóg z nim... Pożegnał się generał.

Dnia tego długo bardzo, do późnego wieczoru. chodził po miasteczku i pustej okolicy, a gdy wrócił i Chaïm do niego wedle zwyczaju stawiał się na gawędkę, znalazł go ponurym i milczącym jak nigdy. — Zaczepiał go ze stron różnych i słowa dobyć nie mógł.

Dopiero na wychodnem Hochwarth jakby mimowoli odezwał się.

— Lecz że też tego łotra ani śladu; ani trupa znaleźć, ani poszlaki po nim dopytywać niemożna!! Nie miał pieniędzy uciekając nad te, które ja mu dałem, nie mógłby nimi długo żyć...

Chaïm ramionami ruszył.

— Jestem pewny — dokończył generał, że on tu ma przyjaciół co o nim wiedzą. że Cyrkiewicz z nim w potajemnych stosunkach, a plenipotent także... że mu grosza dosyłają. Żeby też się niczem nie zdradzili. żeby ich złapać na uczynku nie można... Niepojęta rzecz... I stuknął pięścią o stół...

Chaïm popatrzył.

— Niech no jasnie pan poczeka a ma cierpliwość, to się jeszcze wszystko... inaczej obrócić może...

I pożegnawszy go, poważnym krokiem wyszedł z izby...

Wieczór był letni, parny ale pogodny, słońce zachodziło wśród piętrzących się i kłębiących chmur, powyzłacanych z jednej strony, podszytych liliowo z drugiej, obrębionych u dołu krwawemi fręzlami.

Gdzieniegdzie. wśród tych pozaokrąglanych obłoków. wyciągały się już długimi pasami sinemi i kładły na spoczynek nocny opary wieczorne. Nad błotami jakby w nich kipiło, mgły muślinowe wlokły się i kołysały! — Jaskółki zwijały się chmurami górą. to opadały na dół i szybowały do gniazdek. W krzewach słychać było gwarne gospodarstwo na gniazdkach, w których strawę dzielono i zabierano się do snu...

W głębi lasu było cicho, wierzchołki sosen kołysały się z wolna, dołem spało już wszystko. Promienie pomarańczowe zachodzącego słońca złościły wierzchołki, a poniżej mrok się rozścielał szary. przez który gdzieniegdzie swawolnie zakradziony pas światła... wieszał się po listkach i rozwielićdłał kałuże...

Czasami jastrząb wracający z łowów, lub czarny bocian co mieszka w dzikich ustroniach. przesybował powietrznemi szlaki i zniknął... W promieniach ostatnich émy komarów słupami stały, żegnając słońce i życie... Niekiedy spóźniony robotnik dzieciół poczytnał kuć korę starą i ustawiał...

W dziupli ogromnego, starego dębu. na kilka stóp wzniesionej nad ziemię. otwartej nieco ku zachodowi, siedziała Cześnikówna, zwrócona ku słońcu i smutna, modliła się ze złożonemi rękami. Przychodziły na nią takie chwile łez, bólu i modlitwy, gdy odchodził gniew i pragnienie zemsty i cała namietność, która życie stargała. Naówczas płakała nad sobą, nad przeszłością, i prosiła Boga by umrzeć mogła.

O kilka stai od miejsca w którem przesiadywała. była nędzna lepianka, w której mieszkał strażnik sąsiednich lasów z małą dziewczyniną. sierotką, bo mu

żona zmarła przed kilku laty i został z nią sam. Dziewcze posługiwało ojcu, a że się spotykało od paru lat z Cześnikówną i często z nią rozmawiało, przywiązało się też do niej. Horpynka знаła ów dąb i mieszkanie kobiety, która za obłąkaną uchodziła. Przybiegała do niej czasami i przynosiła jej ciepłej strawy trochę, czystej wody lub kawałek chleba. Róża, której jałmużnę nawet nieproszoną dawano, groszem się za to dzieliła z Horpynką. Zawiązała się dobra przyjaźń między nimi...

I teraz właśnie gdy zapłakana Cześnikówna modlitwę swą kończyła, zaszeleściało u stóp dębu, spojrzała i zobaczyła Horpynkę, spinającą się ku niej z garnuszczykiem w ręku...

Dziewcze ciekawie się przypatrywało starej przyjaciółce, na której oczach widziało łzy, a niedochodząc postrzegła ją jeszcze domawiającą modlitwę...

— Dobry wieczór — matusiu...

— Dobry wieczór — dziecko moje...

— O co się to wy tak gorąco modlili?

— Jak zawsze, żeby mnie pan Bóg prędzej wziął z tego świata... Nie mam co na nim robić... głowie ciężko — sercu smutno, ciału słabo... a duszy tęskno...

I otarła łzy...

— A! dalibyście pokój! a komu lekko? ojciec stęka cały dzień i przyszedłszy do chaty nocą — mnie tak czasem trudno podołać, że padam ze znużenia... a trzeba żyć, gdy pan Bóg przykazał.

— Pokuta! pokuta! szepnęła Cześnikówna, biorąc garnuszek i dając parę groszy dziewczce. Bóg ci zapłać...

— Ja chciałam coś powiedzieć. szepnęło dziecko na palcach się podnosząc ku starej... — Was tu pono ktoś szuka... czy z ciekawości... czy może ze złej woli. Jakiś stary pan niedawno przyszedł do ojca, znać mu ktoś o was powiadał. bo pytał o wasz dąb i pewnie dziś jeszcze tu przyjdzie. Ojciec mu drogę rozpowie-dział, ja nie mogłam strzymać... Bądźcie ostrożni...

Dziewcze się obejrzało, palec położyło na ustach... potem nim w dal na las wskazało. skoczyło prędko i skryło się w zarośla...

Cześnikówna obojętnie dosyć, jak w wygodnym fotelu, rozparła się w swej dziupli, założyła ręce na piersiach i czekała...

Nie rychło chód się dał słyszeć ostrożny;—idący stawał niekiedy i rozpatrywał się, strzelbę miał przez plecy przewieszoną, buty długie i znać nawykły do pieszych wędrówek, umiał sobie wynaleźć drogę i kierować się po lesie... Stary dąb omszony, najgrubszy ze wszystkich zwrócił jego oczy, począł go obchodzić do koła i postrzegł otwór wygorzały, w którym siedziała Róża. Ona poznała w nim tego podróżnego, którego widziała jadącego do Brończej.

Podniósł głowę przechodzień.

— Dobry wieczór — aleście to sobie osobliwe gniazdo dobrali!

— Mnie tu dobrze odezwała się Cześnikówna. Słyszałam że w najwyższe drzewa pioruny biją. myślałam że tu który padnie... a no — nie!

— Co wam się tak życie sprzykrzyło?

— A wam? odparła Róża...

Mężczyzna zamilczał...

— Musieliście dużo broić! rzekł...

— A wy? spytała Cześnikówna...

Po chwili milczenia, wychyliła się nieco aby mu lepiej przypatrzeć.

— Wy tu obcy i co wy tu robicie? Jechaliście do Brończej? po co?

— Szukam Skórskiego?

— Po lesie! a no! poczęła Cześnikówna, nie zły węch macie! Taki zbój nie może gdzieindziej siedzieć tylko w wilczej jamie, albo w niedźwiedzim barłogu... A po co on wam?

Generał, gdyż on tu był—uśmiechnął się.

— Mamy z sobą interesa, rzekł...

Stara wlepiła w niego oczy bystro, jakby na wy-lot przejrzeć go chciała.

— A cobyście z nim zrobili gdybyście go znaleźli??

Generał ręką zrobił ruch znaczący, jakby chciał pokazać żeby mu karku nadkręcił. Róży czerwoność wystąpiła na policzki, oczy się zapaliły, pochwyciła rękami za brzeg dziupli i zręcznie dosyć spuściła się z niej na ziemię. Stanąwszy naprzeciw generała w milczeniu, jęła mu się przypatrywać od stóp do głów.

— To wy już wszystko wiecie—rzekła cicho—musieli wam powiedzieć o Cześnikównie i o nim, że i ona jak wyżeł za zwierzyną węchem za nim gonić umie... Chcielibyście mnie zrobić wyżeł, a gdy stanie...

Przyłożyła rękę do twarzy, jakby strzelać miała i zawołała. — Buch leży! i wszystko skończone...

Dygnęła generałowi. Umysł jej już poczynął się rozstrajać.

— Wy już wszystko wiecie, dodała... że on był mo-im kochankiem i że mi pierwszy nawiązał na szyi

stryczek, który mnie dusi a zadusić nie może. Ot tak dola! Tyle lat... tyle lat a końca niema...

Generał wpatrywał się w nią zdumiony; rysy jej twarzy wykrzywione, znędzniałe. dziwnie mu jednak chwilami przypominały żonę...

— Cóżbyście wy z nim zrobili gdybyście go znaleźli? spytała Cześnikówna—mówcie...

— Możebym go oddał do kryminału. rzekł generał a może sam się z nim rozprawił...

— Jego szkoda do kryminału .. odparła Róża — jemuby tam było dobrze. — On ma pieniądze. jemu być tam krzywda się nie działa. Daliby mu szlachecką izbę a potemby się opłacił i puściliby go na wolność ..

Potrząsała głową.—Jegoby na wolnym ogniu piec... przywiązanego do drzewa... a jabym śpiewając tańcowała do koła... Niechby się tak pomęczył trochę jak ja całe życie...

Hochwarth słuchał i patrzył...

— Już gdybym ja go złapał, ręczę wam nie byłoby mu też wesoło w moich rękach...

Róża w dłonie klasnęła. — To lubię! Gdzie on tam i ja?

— O ho? a więc gdzieś on tu niedaleko być musi. jeżeli wy jesteście? pochwycił Hochwarth zbliżając się—Róża popatrzyła nań skrzącemi oczyma.

— A kto wie? może!

Hochwarth machinalnie sięgnął do kieszeni, brzęknęły w niej pieniądze. Z krzykiem i złością rzuciła się od niego Cześnikówna. podnosząc pięść groźnie.

— Co ty myślisz! zem ja Judasz! że ludzi sprzedaje? krzyknęła... A idź ty mi precz...

I jakby przestraszona poczęła nazad drapać się do swojej dziupli na drzewo...

— Czekaj! zawołał generał surowo, — przecież ci pieniędzy nie myślałem dawać... gadajmy z sobą po ludzku...

— Ja nie umiem po ludzku;—jeszcze gniewna, zwieszszy się nad dziuplą mówiła Cześnikówna.

— No — to po szatańsku — począł zniecierpliwiony generał. Szukam Skórskiego? wiesz gdzie jest? daj mi go?

— A tak? rozśmiała się Cześnikówna, żebyś ty sobie jego wziął a ja go nie miała. Ja tego nie chcę...

— A mścić się pragnęłaś całe życie...

— Prawda... ino pomaleńku. Raz tylko po pijanemu szatan mnie skusił bym mu głowę rozbiła... Był to wielki grzech... Skryła się w dziuplę krzycząc: — Dobranoc jegomości... Idź spać! idź spać! słońko krwawe na zachodzie! zachodzie... wilcy na żer idą, kto się z niemi nie zna, niech po lesie nie wędruje. — Idź spać...

Generał zmieszany stał pod dębem... dumając i nie wiedząc co począć dalej. W swoim życiu spotykał istot wiele, które miały i niespełna rozum i w różnych stopniach spokojne, peryodyczne, częściowe obłąkanie — ale podobnej istoty nie widział nawet w Ameryce ani w Indyach, gdzie słońce na ludzkim mózgu gra jak na odstrojonych organach.

— Dyabeł w niej siedził zawołał z cicha sam do siebie.

Cześnikówna dosłyszała.

— Musi to tak być — rzekła z góry — ja go nawet w sobie czuję. — Przychodzi z wizytą, zawichrzy mi

w głowie, ogonem zakręci pod czaszką... zapieczę w piersiach i rusza dalej. Ksiądz go próbował wypędzić. nie daje się. — Pójdzie za interesami i powraca do domu... Cha! cha! dobranoc...

Hochwarth chodził pod dębem spoglądając na słońce. Do chaty leśnika, koło której konia zostawił, kawał było niewielki—nocy i wieczoru się tak dalece nie obawiał. bo z różnemi drogami był obyty, i nad Orenoką nie jedną noc przebył w lesie...

— Hej. słuchajcie no, panno Cześnikówno, zawołał. podnosząc głowę do góry, pogadajcie ze mną jak należy.

Wy tego samego chcecie co i ja przecie gdy dwóch z jednym wojnę prowadzi, to się za ręce biorą.

Śmiech się dał słyszeć z góry.

— A gdzieżbyś ty mnie chciał wziąć za tę rękę. która była i w błocie i we krwi. — Ja ciebie o pomoc nie proszę. a ty mnie daj pokój... bywaj zdrów bo cię wilcy zjedzą. żalby mi było takiego uczciwego człowieka...

— Z szalonemi niema rady! burknął generał chcąc odchodzić...

Postąpił kilka kroków już kierując się ku chacie strażnika, gdy. jakby się nagle namyśliwszy. chyżo i zręcznie Róża spuściła się znowu z dziupli i poczęła iść za nim...

— Ja jegomości przeprowadzę — odezwała się równając z nim i krok równając z chodem jego. Pójdziemmy sobie w parze, jak dobrzy przyjaciele... Ja nawet wiem dokąd idziecie. — Do chaty strażnika krótszą drogę pokażę...

Pogadamy po drodze...

Hochwarth milczał zniechęcony.

— Powiedzcie mi że go nie zabijecie, prędko złapawszy — odezwała się — no to może? może zrobimy co z sobą! kto to wie?

— Zabijać go przecież nie myślę — odezwał się generał...

— Bo nie trzeba — dokończyła Cześnikówna — wszystkoby się skończyło! Nie! nie. A co jabym robiła? Babką przy kościele nie będę... nie stanie mi co na kłębek nawijać... a ja z tym kłębkim boleści pójdę na sąd Najwyższego i rzucę mu go pod nogi, aby wiedział na ile sążni wrzucić go w przepaści piekielne...

Kiwała głową. — Póki żyję zwijać będę a zwijąć... czarne nici... pokrwawione. — Ale co wy z nim zrobicie...

— Co? począł generał stając nagle. pieścić się z nim nie będę, to pewna... Naprzód mi musi odpowiedzieć za stracone dziecię... a potem mamy z sobą inne rachunki. Bronić mn wezmę i pójdzie z torbami...

Cześnikówna klasnęła w suche dłonie.

— Ot to, to... z torbami! Ślicznie... ja z nim pójdę razem i już nam będzie dobrze.

— Ty jesteś widzę dobry człowiek, dodała... z jegością gadać można... Przyjdźcie jutro o świcie, ja was do jego jamy zaprowadzę...

Zdziwiony tem nagłym postanowieniem, generał stanął.

— Napewno?

— Jak Cześnikówna słowo szlacheckie da, to nie zawiedzie... odezwała się poważnie — bo ja jestem szlachcianka i dobrego rodu... tylko ot tak schłopia-

łam jak widzicie, po wierzchu... We środku szlachectwo zostało całe...

Wzięła się w boki.

— To już dosyć—rzekła wskazując na lewo, chata strażnika ot tam za leszczyną—trafcie do niej. Jutro na zaranie... A weźcie strzelbinę bo nie można wiedzieć co będzie! Nuż się zając trafi po drodze...

Dobranoc...

To mówiąc odwróciła się z pokłonem i chichocząc znikła w zaroślach...

Cała ta scena w której Róża stawiała przed oczyma Hochwartha jak widmo jego żony, jak potworny jej samowtór — podziałała nań więcej niżby na kogokolwiek innego mogła. — Zatrzymawszy się chwilę, widząc że już Cześnikówna nie wróci, poszedł z wolna we wskazanym mu kierunku do chaty strażnika. Tu czekał nań koń, którego dosiadłszy, klusem popędzić do miasteczka...

Miał co w myślach przebierać...

Spodziewał się Skórskiego pochwycawszy dosyć mieć poszlaków, do zadania mu podstępnego fałszerstwa w sprawie długu. Raz rozpoczęty proces dozwalał uwięzić winowajcę i — może się go pozbyć nazawsze... Kogo innego mógł użyć z boku dla wytoczenia mu sprawy o zatracone dziecię...

Pozbyć się go — było teraz celem Hochwartha... dopóki żył i był wolnym. generał nie mógł być spokojnym... Tajemnica żony jego wydać się mogła. W Ameryce lub innym kraju, gdzie wymiar osobisty sprawiedliwości i zemsta za krzywdę — uchodzi bezkarnie, byłby bez wahania chwycił się innego środka. Tu, należało być ostrożnym — generał miał stosunki,

liczył na nie... a w ostatnich dniach pobytu w miasteczku, dostarczono mu dowodów, że pokrycie Bronczej długiem było podstępne i fałszywe... Dowody te, drogo nabyte, kompromitowały i Dygowskiego, lecz tego nie miał powodu oszczędzać pan generał...

Należało się też rozmyśleć dobrze nad jutrzejszą wyprawą, jak ją przedsięwziąć, samemu czy z pomocą kilku przybranych ludzi, w razie gdyby pochwycyony myślał się bronić.

Generałowi ani na sile, ani na zręczności, ani na przytomności umysłu nie zbywało. Para rewolwerów w kieszeni, przy umiejętności użycia ich — starczyło choćby na dwóch lub trzech ludzi. Nie rad był wtajemniczać nikogo, ani zawczasu rozbudzać posądzeń... Przybywszy więc do miasteczka poszedł do swojego mieszkania i zajął się tylko opatrzeniem broni.

Właśnie gdy tę czynność rozpoczynał, w progu pojawił się zwykły gość wieczorny Chaim, który na widok broni, dosyć niespokojnie cofnął się i stanął w pewnem oddaleniu.

— Do czego to jaśnie pann... ten interes... rzekł cicho.

— Ja to zwykle z sobą wożę w drodze...

— Ale u nas to niepotrzebne — odpowiedział Chaim — u nas ludzie się tak nie porywają prędko i niema niebezpieczeństwa...

— Ot, niech to sobie będzie! zakończył Hochwarth. Na jutro do dnia potrzebować będę konia. Okrutnie mi tu nudno, chcę trochę objechać lasy...

— Można i bez tych instrumentów — dodał żyd — u nas w lesie jak w domu bezpiecznie. Chowaj Boże!

Nic już nie odpowiadając Hochwarth szykował broń...

Noc przeszła w części na rozmyślaniu i niecierpliwem wyglądanu poranku. Szarzało zaledwie na niebie gdy już generał po konia posłał, dobrze przed wschodem słońca, pod pozorem uniknienia skwaru. wyjeżdżając ku znajomej chatce strażnika...

Przybył tu gdy już pilny gospodarz ruszył był do lasu; pozostała tylko Horpynka, konia zostawionego obiecując pilnować. Hochwarth, obeznany ze wszystkim, sam go rozsiodłał, spętał i na łączkę puścił na paszę... Nie potrzebując już pytać o drogę, sam ruszył kę dębowi Cześnikównej. Właśnie pierwsze słońca promienie przebijały grube obłoki, nagromadzone na wschodzie, gdy stanąwszy w miejscu ujrzał pannę Różę, modlącą się w dziupli na kłęczkach. Zobaczywszy go przeżegnała się i skoczyła ze swojego zchronienia na ziemię. Była tego rana znacznie spokojniejsza niż wczoraj i mniej rozmowna.

— Chodźmy, odezwała się krótko — niech nogi nie szeleszczą, po cichu iść trzeba...

Puściła się sama przodem, wskazując kędy przejść było można suszej między moczarami, trzęsawiskiem, kłodami i kępami...

Kilka razy generał napróżno usiłował rozpocząć rozmowę, potrzasała głową nie odpowiadając wcale. Przeszli przestrzeń dzielącą ich od Leśniczówki—dosić prędko. Dzień choć się wybierał na pogodę, jeszcze był cały w chmurach ciężkich i szarych obsłonach.—Zbliżając się ku chacie, Cześnikówna odwróciła się ku idącemu za nią i na ustach kładąc palce,

dała mu do zrozumienia, aby się zachował jak najciszej...

Z po za drzew i zarośli widać już było wysoki dach Leśniczówki. Róża wprowadziła generała na to samo miejsce, z którego po raz pierwszy wyspiegowała tu Skórskiego — kazała mu usiąść na obalonej kłodzie, a sama zaczęła się za nim. W chacie wszystko się jeszcze spać zdawało. Dwa ogary zwinięte w kłębek odpoczywały na przyźbie. Okno izby w której mieszkał Skórski zapuszczone było zieloną firanką... Z komina jednak dobywał się dymek biały. świadczący iż gospodyni już ogień rozłożyła...

W milczeniu nłynęła długa chwila... Za drzwi wyszedł mężczyzna w torbie borsuczej, ze strzelbą na ramieniu, z fajeczką w ustach. w długich butach po kolana. świsnął na psy... Oba one zerwały się jak oparzone. strzepnęły uszami i poczęły łasić około niego.

Z niemi razem Leśniczy w bok puścił się ścieżyną ku lasowi. Przechodził o kilka ledwie kroków od generała i Cześnikówny. która przypadła do samej ziemi... Gęste zarośle osłaniały tę zasadzkę, której psy, zajęte łaszeniem się koło swojego pana, nie poczuły...

Wyjście z chaty Leśniczego. ułatwiało Hochwarthowi pochwycenie p. Michała. Chciał wkrótce potem już wstać i iść, ale go Cześnikówna prawie gwałtem wstrzymała... Oczy mieli zwrócone na drzwi i okno, którego zasłona nie długo się podniosła, ręka z wewnątrz odryglowała je i popchnęła... W oknie ukazał się Skórski w koszuli, ziewając i wyciągając ręce do góry.

General nie czekając już dłużej, zarosłami podszedł pod samą chatę, drzwiami z przeciwnej strony wsunął się do sieni idącej na przestrzal, i otworzył drzwi izby w której się Michał znajdował. W tej samej chwili Cześnikówna, której szło o to ażeby wiedział kto mu przyjaciela przyprowadził, stanęła, śmiejąc się, naprzeciwko okna — w którym stał Skórski.

Na widok jej z krzykiem przeraźliwym cofnął się w głąb napadnięty, zdjął z kołka strzelbę i w pierwszym wybuchu gniewu i strachu — zmierzył i wystrzelił.

General stał właśnie w progu...

Dym zaległ w części izbę i zasłonił nieszczęśliwą ofiarę, która chwytając się za piers, z krzykiem i śmiechem uragliwym — upadła...

Jak obłąkany rzucił Skórski na ziemię fuzyą, gdy w tej chwili zwracając się spostrzegł niespodziewanego gościa. Z rewolwerem w ręku Hochwarth stał w progu spokojny, błady, uśmiechający się sztydersko.

— W samą porę przybywam — odezwał się, ażeby zabójcę w imieniu sprawiedliwości aresztować...

Skórski stał jak osłupiały, nie usiłując się bronić nawet...

Na huk strzału z domu, wylękała wyrwała się gospodyni na podwórze... Na przeciw drzwi leżała Cześnikówna na wznak, z ręką na piersiach, z których buchała krew. Twarz jej już trupia powlekła bledność, resztki tylko życia. drganiem ciała się zdradzały. Oczy zeszkłone nie widziały już nic... usta przesta-

wały się poruszać, skrzywione ostatnim uśmiechem... Trafiona w serce — skonała natychmiast.

Hochwarth zbliżył się o krok do Skórskiego.

— Pozwolisz mi, szanowny panie, rzekł z krwią zimną, abym się zapewnił, iż znowu mi nie zbieżysz i nie zmusisz do szukania cię po świecie...

Skórski nie odpowiedział ani słowa. Oczy jego padły na trupa leżącego przed chatą i oderwać się od niego nie potrafiły. — Hochwarth mógł się zbliżyć, w silne dłonie ująć jego ręce i skrepować mu je z tyłu... zamknął potem drzwi na rygiel i zajął się szukaniem sznurów i odzieży dla więźnia... który nie myślał się bronić. Cała ta scena odbywała się w złowrogiem milczeniu. — Słysząc tylko było nawoływanie i płacz gospodyni wylekłej, która nie mogła pojąć co się stało. Związawszy Skórskiego. Hochwarth popchnął go ku drzwiom, które odryglował, odzywając się głosem żołnierskim.

— Naprzód! marsz...

Właśnie wychodzili ze drzwi, gdy tentent konia dał się słyszeć i Cyrkiewicz wpadł na podwórkó... niemal na trupa Cześnikównej. Spojrzał na swego pana, którego prowadził generał, na leżącą Różę, i w pierwszej chwili jakiegoś nierozważnego strachu, zawrócił konia i uszedł.

Są wypadki w życiu ludzi, które najzatarwężalsze serca poruszają i wstrząsają całym dusznym organizmem, choćby długimi wyrobionym laty. Jak przesilenia w chorobie sprowadzają one zmianę usposobień, otwierają życie nowe i zmuszają zerwać z przeszłością.

Taką kryzys w życiu Skórskiego był ów ranek, w którym na pół przytomny, ledwie rozbudzony, strachem i gniewem przejęty porwał strzelbę i zabił Cześnikównę...

Gdy wychodzili z chaty razem z generałem, a obok trupa przechodzić nieuchronnie było potrzeba, bo tamtędy wiodła ścieżka, Skórski targnął się i stanął nad nim niemy. Patrzył długo na twarz nieszczęśliwej, na wytoczoną jej krew, która kałużą stała koło niej i Hochwarth musiał go w końcu popchnąć aby zmusić do dalszego pochodu... Ze spuszczoną głową, jakby na pół umarły, bijąc się o drzewa które mijał. niemy, nie odpowiadając na pytania. dowlókł się prowadzony tak do chaty strażnika. Tu Hochwarth znalazł sposób posłania po wóz. zatrzymał idących ludzi aby mu dopomogli, i sam towarzysząc więźniowi, dostawił go do miasteczka.

Zjawienie się tego skrepowanego więźnia, opowiadanie generała, wóz na którym leżał, stojący wpośród rynku, całą ludność niemal sciągnął tu... ciekawością bezmyślną. Tłumy biegły oglądać siedzącego na prostym drabiastym wozie dziedzica Brończej, o którym opowiadano, że tego ranku strzelił i zabił Cześnikównę... Oburzenie malowało się na wszystkich twarzach i szmer złowrogi napełniał targowisko...

Generał oddawszy Skórskiego w ręce straży miejskiej która go dalej odstawić miała. sam wrócił do mieszkania, chcąc natychmiast jechać z więźniem dla złożenia zeznania. Wóz stał jeszcze w rynku. gdy na probostwo doszła także wiadomość o wypadku. Staruszek proboszcz, który tylko co był mszą odprawił. zaledwie czas mając zrzucić albę. pośpieszył drżący do Skórskiego...

Na widok proboszcza, którego nawykli byli szanować wszyscy, rozstąpiły się tłumy, poodkrywały głowy i starzec mógł się zbliżyć do wozu... Z oczyma wlepionemi przed siebie niernochomie Skórski nie widział nic. nie spostrzegł też staruszka. który jedną rękę położywszy na wozie, łagodnym głosem odezwał się do niego.

— Panie Michale — Bóg z tobą (ksiądz zwykł był te słowa często powtarzać) co ja słyszę... co się to stało?

Na głos ten Skórski odwrócił z wolna głowę, tocząc wzrokiem obłąkanym.

— Ja nie wiem — rzekł.

— Jakżeś mógł?

— Ja nie wiem... powtórzył machinalnie Michał ja nie wiem...

Napróżno proboszcz coś chciał z niego wybadać. Skórski milczał osłabły i nieprzytomny... Poszedł więc staruszek do generała, który z bardzo zimną krwią rzeczy swoje pakował.

— Na miłość Chrystusową — odezwał się drżący — powiedźcie mi jak się to stało? jakim sposobem wyście temu byli przytomni? gdzie to było?

Hochwarth usiadł i ze szczegółami opowiedział wszystko.

— Szukałem go, rzekł. udałem się do kobiety, która najprędzej o nim wiedzieć mogła. Trzeba było takiego nieszczęścia, ażeby w chwili gdy go miał aresztować, ona mu się za oknem ukazała... Strzelił bez namysłu — zabił ją na miejscu. Krył się od dawną na Leśniczówce.

Proboszcz załamał ręce.

— Niezbadane wyroki Boże — rzekł.. wszystko się składało na krwawy koniec tej historii — Bóg osądził Bóg osądził..

Ze łzą w oku zbliżył się starzec do generała. — Nie znam was, dodał — anibym śmiał dyktować sumieniowi waszemu jak ma postąpić — pomnij pan jednak abyś świadczył nie na potępienie człowieka, ale jak na uratowanie obląkanego brata.

Hochwarth skłonił się nie odpowiadając. .. W chwilę potem tłnm mieszczan przeprowadzał wóz. ostawiony strażą, aż do rogatek.. Generał z wolna jechał z tyłu posepny i milczący, z cygarem w ustach...

Gruchnęła wieść po całym sąsiedztwie. a można sobie wystawić jakie uczyniła wrażenie. Tegoż dnia ciało nieszczęśliwej Cześnikówniej przywieziono do miasteczka, a do niego zebrało się co żyło. aby je oglądać. Ci co się nieraz nrągali z żyjącej, gdy śpiewając skakała pół obląkana pod sienią u Chaima. szli teraz ze łzami oglądać zwłoki. i litowali się losowi nieszczęśliwej. Znalazł się znowu ten sam szlachcic który ją nieraz z rąk tłnmu ratował. ofiarując się sprawić trumnę i pogrzeb. Z mieszczan każdy śpieszył z jakimś datkiem dla umarłej.

Rzadko bogatym i możliwym taki się pogrzeb ludny trafia — jakim był Cześnikówniej. Wybiegli nań wszyscy... Kobiety trumnę przysypały kwiatkami, wykopano dół na ustroniu pod brzozą, i tak po niej szlochały kobiety, jakby teraz dopiero los jej ciężki poczuły... Bractwa, świece, chorągwie — wszystko co do najwspanialszych pogrzebów wiejskich należy, znalazło się teraz dla Cześnikówniej. Staruszek proboszcz prowadził kondukt i zamiast mowy nad mogiłą, chustką otarł łzy, które mu z oczów płynęły..

Cyrkiewicz przerażony, uciekłszy do Brończej, tu dopiero rozmyślać zaczął co mu czynić należy. Polecał natychmiast do Dygowskiego.. Ten już wiedział o wszystkim, bo wieść się piorunem rozbiegła, był niespokojnym bardzo. Doszło go bowiem wprzód, że generał coś poodkrywał a to dla niego nieprzyjemne może spowodować następstwa

Zafrasowany wielce odprawiawszy Cyrkiewicza do domu, aby poszlaki narad z nim nie było, sam pośpieszył do miasta, aby ratować jeśli się da Skórskiego. lub z generałem się rozmówić, dopóki czas był jeszcze... Zdawało mu się, że tu już majątek poświęcając, życie i honor ratować było potrzeba. Skórski już był osadzony w więzieniu, a generał odpoczywał po trudach w najętym mieszkaniu, gdy Dygowski śmiało się doń stawiał.

Widzieli się już i znali wprzód, z powodu zamierzonej licytacji.

Na Hochwartha, który w życiu wiele przechodził, wcale krwawa scena nie podziałała. było to dlań rzecz powszednia. Cóż tam jedna jakaś kobieta przestrzelona w chwili szału... Jadł więc z dobrym

apetytem lichą wieczerzę, gdy mu oznajmiono Dygowskiego. Kazał prosić.

Mecenas mężnie się stawił, choć odwagę miał sztuczną.

— Panie generale, rzekł — byłem przyjacielem Skórskiego i tej przyjaźni nie zaprę się i teraz. Czuję się w obowiązku go bronić. Proszę pana abys mi raczył powiedzieć otwarcie — o co panu idzie, o odzyskanie należności, czy o zgubienie człowieka?

Generał właśnie zęby sobie przetykał piórkiem i nie odpowiedział zaraz.

— Jak się panu zdaje? zapytał flegmatycznie.

— Zdawałoby mi się, iż do zguby człowieka nie masz pan żadnego powodu...

Hochwarth popatrzył na Mecenasą.

— Możesz się pan mylić, rzekł — ale ja nie mam obowiązku tłumaczyć się przed nim. Nie idzie zresztą ani o zgubę ani o ratunek, chodzi o sprawiedliwość.

— Znasz pan historią tej kobiety i tego człowieka. i co on przez nią wycierpiał.

— I co ona przez niego cierpiała — dodał generał.

— Więc się kompensuje przynajmniej, rzekł mecenas.

— To panowie prawnicy lepiej pogodzić niż ja potrafię.

— Jeszcze słówko — odezwał się Dygowski — Skórski ma przyjaciół, znać że na to uczucie zasługiwał; jeżeli mogą pana rozbroić opłacając mu jego należność, chętnie to uczynią.

— Ale ja nie jestem sprawiedliwością, dodał Hochwarth... Zresztą sądzę, że dowiodę machinacyj

nieprawnych na majątku i bądź co bądź swoje odzyszczyć.

Dygowski nie okazał wzruszenia — wstał powoli z siedzenia i zabierał się do wyjścia. Oko Hochwartha śledziło każdy ruch jego.

— A zatem nie mam żadnej nadziei ażebyś generał względny chciał być dla nieszczęśliwego...

— O mnie nie idzie — odparł Hochwarth — ja nie mogę... Nadto szanuję sprawiedliwość.

Skłonili się sobie chłodno, Dygowski odszedł. Nie było nic do zrobienia z generałem.

Był on tu obcym, a Skórski i Dygowski mieli przyjaciół i stosunki, na które cokolwiek przynajmniej rachować było można. Pomimo postrachów generała dowieść kondyktu było trudno co się tyczy kryminalnego procesu o zabójstwo Cześnikównej, ten, wywodząc całą smutną przeszłość przed sąd, — miał też na korzyść obwinionego dać łagodzące okoliczności. Długie prześladowanie, napaści, zabójstwo popełnione bez rozmysłu, — dozwalały się spodziewać, iż wyrok być może mniej surowy. — Historia obu siostr musiała się wytoczyć przed kratki — generał wcale się nad tem w pierwszej nie zastanowił chwili, iż w ten sposób żona jego dotkniętą być może. Dygowski i obrońcy Skórskiego nie wiedzieli o tem, że żona generała była siostrą Cześnikównej. Dałoby im to broń w ręce...

Dopiero nazajutrz rozmawiając o sprawie z jurystami, których ona żywo obchodziła. Hochwarth usłyszał, że w obronie Skórskiego, czy przeciwko niemu, wytoczy się cała przeszłość obu kobiet.

Zmieniło to natychmiast usposobienie generała... Dochodzenia sądowe mogły, idąc po nici, dotknąć żony

jego, a nawet zmusić ją do świadczenia przed sądem.—
ta myśl przeraziła go jak uderzenie piorunu. Zemsta
zgotowana dla Skórskiego, obracała się obosieczna
przeciwko niemu samemu.. Sprawa już stała tak, iż
cofnąć jej nie było podobna...

Sam do Dygowskiego iść nie mógł, lecz tegoż
samego dnia jeszcze pokierował tak krokami swemi.
ażeby się z nim spotkać. Mecenas trzymał się na
uboczu... Zbliżyć się doń pomogła zręczna strategia.
— Było to w przedsiönku sądowym. generał z nim się
przywitał..

— Panie Mecenasie — odezwał się chłodno — wczorajsza nasza rozmowa utkwiała we mnie. — Nie chcę
ażebym był pomówiony o niewyrozumiałość i okrucieństwo... musimy jeszcze pomówić z sobą.

Zgodził się na to jak najchętniej Mecenas...
Znikli oba odszedłszy na ubocze...

— Nie cofam słowa mojego, rzekł Dygowski—dług
za Skórskiego zapłacimy... a generał złagodziś swe
zeznania. Nie żądamy od niego nic nad prawdę, lecz
prawdę nie zatrutą osobistą nienawiścią ..

— Czy spodziewacie się panowie by mógł być unie
winnionym? spytał generał.

— Są okoliczności łagodzące — odezwał się adwokat.
Postawimy świadków. którzy okażą ile lat
i w jaki sposób cierpiał od tej nieszczęśliwej...

Hochwart zmilczał..

— Nie potrafię tego panu wytłumaczyć, odezwał się
po przestanku — dla czego mnie do pewnego stopnia—
obchodzi los rodziny, z której pochodziła Cześnikó
wna. — Im mniej się na jaw wyprowadzi z tych smu
tnych dziejów, tem lepiej.

— Zapewne, rzekł zdziwiony trochę Dygowski — ale cóż to pana generała obchodzić może... Rodziny tej już niema...

— Któż to wie! odezwał się Hochwarth, — odsłaniać te dzieje i dla Skórskiego byłoby nie korzystnem — pan je znasz?

— Dosyć dokładnie — odparł Dygowski.

— Siostra Cześnikównej — wyjąknął ksztusząc się generał — uchodząc w świat podobno zostawiła dziecię w rękach Skórskiego, który je miał wychować. — Co się z niem stało?

— O tem nie wiem — rzekł obrońca — ale z kądzie pan tak dokładnie jesteś uwiadomiony.

— Ja? Siedziałem dość długo w małym miasteczku — odezwał się generał, to wszystko tłumaczy.

Dygowski zamyślony zamilkł.

— Wiesz pan co — szepnął generał — kwestya pieniężna załatwi się między nami bez trudności... W interesie Skórskiego zdaje mi się najwłaściwsem...

Tu zawahał się nieco — Dygowski patrzył mu w oczy.

— Ażeby z więzienia za granicę uszedł i więcej się w kraju nie pokazywał. Do tego możemy mu dopomódz... Ja sam — rzekł zniżając głos — ja sam — mógłbym do pewnego stopnia postarać się o ułatwienie mu ucieczki, ale — z jednym warunkiem.

— Z jakim? zapytał adwokat.

— Żeby mi przez pana dał szczerą, pewną i popartą jakimikolwiek dowodami wiadomość, gdzie się znajduje owo dziecię jego...

Znowu Dygowski niezmiernie zdziwiony popatrzył na generała. Nie miał w nim żadnego zaufania.

ta nagła zmiana usposobień. ta litość nad Skórskim, ofiara pomocy do ucieczki. dopytywanie o dziecko — zdały mu się kryć jakąś zdradę i być wielce podejrzanymi. Nie poznawał Hochwartha, a miał powody lękania się go...

— Pan generał niech daruje — odezwał się zafrasowany — lecz po ostatniej naszej rozmowie terazniejsza mi się wydaje tak dziwną, tak nie wytłumaczoną ..

— Przyznaję, a dodam, i wytłumaczyć się nie mogącą, podchwycił Hochwarth. Bierz to sobie pan jako chcesz. Możesz mi wierzyć, możesz nie ufać — na to nie mam sposobu...

— Byłby sposób wtrącił Dygowski.

— Jaki?

— Gdybyś pan generał chciał się ze mną zaraz ułożyć o warunki pieniężne.

— Nie mogę, póki nie będę mieć pewności, że Skórski uciecze i że mi da wiadomość o dziecku...

Hochwarth przeszedł się po pokoju. mecenas stał zadumany...

— Miarkuj pan, odwracając się dodał generał. że ja knuć żadnej zdrady nie mogę. bo cóżbym miał za zysk na niej? Mogę go zabić nie posługując się innymi środkami nad te, jakie mi jawnie posługują...

— Bądź co bądź, potrzebowałbym się widzieć ze Skórskim — zaś kończył obrońca...

— Zdaje mi się, że jako jego umocowany i przed sądem adwokat, masz pan do tego prawo...

Skończyła się rozmowa na tem; Dygowski odszedł niezmiernie zdziwiony tym obrotem. a nazajutrz wyrobił sobie pozwolenie widzenia się z obwinionym.

Stan więzień pomniejszych na prowincyi, nie był nigdy bardzo przykładowym, a w miasteczku w którem Skórskiemu siedzieć przyszło, istniało tylko tymczasowe, składające się z domu drewnianego, w którym rozmaici przestępcy mieścić się musieli. — Wprawdzie Skórski otrzymał izdebkę osobną, ale ją tylko wązki korytarz oddzielał od tych, w których włóczęgi i wszelkiego rodzaju plugawe wyrzutki społeczeństwa w zaduszonych izdebkach dokupy były spędzone. — Sam widok tego obrzydłego kafarnaum wstręt obudzał... Dygowski nie był zbyt drażliwych nerwów człowiekiem, przecież wszedłszy tu doznał przykrego uczucia. Wrzawa która go dochodziła. cyniczue śmiechy, piski i łajania, powietrze duszne we wnętrzu, kazały mu przyspieszyć krok, aby się co rychlej dostać do celi więzienia... Stróż powoli mu ją otwierał, a wpnsciwszy go, sam pozostał nieruchomy przy progu. — Zakratowane małe okienko, osłonięte tarcicami tak, że tylko z góry wchodziło doń trochę szarego światła. tarczan pokryty siennikiem i grubą kołdrą, stolik i jedno krzeselko — składały cały sprzęt izby, której piec przy wuijściu rozwalony i zatkany na prędcie cegłami, dodawał nędznego pozoru.

W głębi postrzegł Skórskiego, który z nogami spuszczonemi, z głową na piersi zwieszoną, z rękami obwisłemi siedział na tarczanie, okryty jakimś płaszczem. spadającym mu z ramion. Najeżone włosy, odzież w nieładzie, dawały poznać bezmyślną jakąś rozpacz.

Nie podniósł z razu nawet oczów na przybywającego, otwarcia drzwi nie zdawał się słyszeć — pozostał tak nieruchomym aż Dygowski zbliżywszy się doń

ujął go za dłoń zimną... Dopiero drgnął i wpatrzył się weń z osłupieniem jakimś dziwnym.

— Panie Michale, zawołał, siadając na przeciw niego Dygowski — widzę cię jakimś zrozpaczonym i bezprzytomnym a potrzebuję się z tobą rozmówić chłodno i rozważnie. Czasu mamy niewiele, zbierz myśli, proszę cię...

— Co ty chcesz odemnie? wybąknął z trudnością Skórski — to są próżne rzeczy... Niema o czem mówić już — co się miało stać to się stało... Było napisano.

— Ale ratować się potrzeba?

Więzień ruszył ramionami.

— Na to niema ratunku. rzekł głucho — na to już niema żadnego — to darmo... nie mówmy...

Dygowski, który przy stróżu mówić nie chciał i nie mógł, poszedł mu wcisnąć coś w rękę, aby stał w korytarzu. — Zawahał się nieco, ale mrużąc wysunął po chwili.

— Mówmy krótko, a stanowczo — począł obrońca. — W generale znalazłem niespodziewanie. mimo że zrazu okazywał się zajadłym — powolniejszego niż sądziłem człowieka... Obrona twoja byłaby trudną, chce ci dopomódz...

(Nachylił się do ucha) — do ucieczki.

— Któż od swojego losu uciecze? rzekł Skórski... Zresztą dokąd? z czem?

— Na to wszystko znajdzie się odpowiedź, gdy zechcesz tylko chłodniej jej poszukać — mówił Dygowski. — Generał kładzie jeden warunek, abyś mu złożył dowody gdzie się znajduje dziecię... które ci siostra Cześnikówniej powierzyła...

— Ażebym je zgubić? podchwycił Skórski, aby śladu po nim nie zostało! a! rozumiem to dobrze...

— Ja, nie a nie—rzekł Dygowski...

— Generał jest mężem drugiej Cześniówniej, mrknął Skórski.

Obrońca porwał się z krzesła, chwytając się za głowę.

— A! teraz to rozumiem wszystko... możesz się wyratować! zawołał...

Skórski spojrzał wzrokiem dziwnym.

— Znałeś mnie innym, rzekł — ale ten piorun wszystko we mnie wywrócił, zmienił mnie całego... Nie chcę mieć więcej na sumieniu! Dosyć tych kar za zbrodnie moje!! Dziecka nie dam na stracenie... to dziecko moje!... Winienem żem je opuścił, ratować je muszę... wynaleźć je powinienem...

Zdziwił się w istocie takiemu usposobieniu przyjaciela, lecz zmilczał...

— A! ty nie wiesz, dodał Skórski, trąć konwulsyjnie piersi. ty nie wiesz co od tej chwili gdym trupa tego widział... stało się we mnie... Zdało mi się, że jakiś obłąd spada mi z oczów — żem ja sam zabity dla życia, a obudzony dla pokuty... Dygowski, ja o nic już nie dbam, chcę tylko w sumieniu mojem spokoju... spokoju... spokoju!

Mówił z wrastającym coraz zapalem; nigdy go takim nie widział Dygowski, i zdumiał się a zmięszał niezmiernie.

— Przecież należy jakkolwiek uspokoić generała... inaczej... będzie ci szkodził. — Gdzież jest to dziecko?

— Powierzyłem je łotrowi! Cudem jakimś znalazłem go i zmusiłem do wyznania, że je w domu podrzutków umieścił... Mam dzień i datę i godzinę...

— Moglibyśmy więc je odzyskać...

— Ale nie oddawać generałowi! nie jemul! dziecka czekałby los najsmutniejszy... To dziecko moje... Zapóźno pomyślałem o tem, ale chcę i muszę je odzyskać dla siebie — ześlą mnie w Sybir — mogę je zabrać z sobą...

Zadumał się. — Kogoś przecie na świecie mieć będę.

I znowu głowę spuścił na piersi.

Dygowski tarł i darł włosy na głowie.

— Cóż mu powiem? zapytał.

— Że dziecię — nie żyje — rzekł Skórski...

— Jaki mu dowód dam na to?

— Żadnego! daj mi pokój! ja się bronić nie chcę, jam zginiony...

— Lecz jeśli w istocie odezwało się w tobie uczucie i serce ojcowskie — podchwycił adwokat, to dla dziecka winienesz się ocalić.

Zamilczał Skórski.

— Powiedz mu zresztą, wyjąknął po chwili, niech mi pomoże do ucieczki, a damę mu słowo, że więcej o mnie ani o dziecku słyszeć nie będzie... Jestem zabójcą, powrócić przecież nie mogę... Pójdę gdzieś, nie wiem — będę pracować, jeśli potrafię... są gdzieś jacyś krewni w świecie.. mnie dziś nic niepotrzeba — tylko spokoju! spokoju! i daleko gdzieś być od tych miejsc gdzie się krew lała...

— Jesteś jeszcze rozgorączkowany — odezwał się adwokat, widząc wchodzącego napowrót stróża, który

chciał przyspieszyć koniec rozmowy... Uspokój się ja powrócę...

Skórski zimną dłoń podał.

— Nie trzeba ci nic...

— Nie — rzekł sucho — nie. tylko spokoju. spokoju...

Stróż brzęknął już kluczami u drzwi, potrzeba było wychodzić. Na Dygowskim widok więźnia i więzienia uczynił nader przykre wrażenie. Ażeby się z niego otrząsnąć, poszedł do domu i tam długo potrzebował ostygnać, nim się uczuł znowu panem sił swych i przytomnym... Chciał wieczorem dopiero pójść zdać sprawę generałowi ze swego poselstwa. gdy Hochwarth ukazał się w progu — dowodziło to z jego strony niecierpliwości.

— Byłeś pan u niego? zapytał.

— Tak jest. alem go znalazł w takim stanie, iż z nim mówić było niepodobieństwem. Rozgorączkowany... Wymógłem na nim przecież jedno — daje słowo, iż jeśli się na wolność dostanie, nigdy ani o nim ani o jego dziecku wiedzieć pan nie będziesz... Ujdzie za granicę...

— A to dziecko? przerwał niespokojnie generał.

— Powierzone było śłudze, który je miał na wychowaniu. Umarło z ospy. dorzucił kłamiąc jak najnaturalniej Dygowski.

— Jakiż dowód? jaki dowód? zawołał Hochwarth — mnie potrzeba dowodu.

— Jego słowo widzi mi się dostatecznem!

— Jego słowo! — wzgardliwie rzekł generał — słowo tego człowieka niema dla mnie żadnej, najmniejszej wartości.

— Jeżeli tak — spokojnie począł Dygowski. nie mamy się co układać z sobą. Niech się więc zbierze sąd, niech się wytoczy proces, a ponieważ świadkowie nam potrzebni, jeżeli powołamy i — panią generałową przed kratki...

Nie mógł dokończyć, gdyż olbrzymiej siły Hochwarth porwał się z miejsca:

— Milczeć! krzyknął głosem zburzonym od gniewu... Ani słowa więcej!

Dygowski odskoczył, porywając za dzwonek stojący na stoliku; ale generał wychwycił mu go i zgniótł w dłoni. Dyszeli oba patrząc na siebie długo...

— Nie ucieknie!... krzyknął generał — jeżeli się pokaże, jeżeli o nim wieść pochwycę, pójdę i w łeb strzelę... A jeżeli waćpan poważysz się to coś mi powiedział powtórzyć choćby ścianie... zabiję, klnę się honorem, zabiję...

— Uspokój się pan — rzekł Dygowski dosyć zimno — ja jestem adwokatem, w moich piersiach jak u spowiednika tajemnica zamiera... ja pana nie zdradzę.

Hochwarth obejrzał się do koła nieufnie i rękę wyciągnął drżącą na przejednanie Dygowskiego.

— Mości panie, zawołał, tu idzie o honor domu o cześć kobiety, powinienes zrozumieć mnie i uniesienie przebaczyć.

— Wszystko to pojmuję i zapomnę — rzekł Dygowski. teraz idzie o ratowanie Skórskiego.

Tu zaczęli szeptać z sobą długo i naradzać się. Mecenas wprowadził go do gabinetu, wyszli z niego

dopiero w godzinę, zupełnie jak się zdawało z siebie zadowoleni i w porozumieniu jak najlepszem. Dygowski tylko zmęczony i blady, a Hochwarth niepomierzenie zaczerwieniony... W kieszeni od surduta niósł wetknięte papiery, które gorączkowo jakoś poprawiał ciągle...

Tak się rozstali.

Mecenas po wyjściu gościa musiał się położyć w łóżko...

Trzeciego dnia potem, zrana około dziewiętej, w całym miasteczku panował popłoch niewysłowny... Stróże wojskowe i cywilne płądrowały po domach i okolicy, gońce jacyś rozbiegli się na wszystkie strony... Nadzorca więzienia wpadł blady i zrozpaczony do generała oznajmując mu, że ten nieszczęśliwy zbójca, Skórski, niepojętym sposobem uszedł z więzienia.

Hochwarth zdawał się niesłychanie zdziwiony i obruszony... Poleciał sam natychmiast na miejsce badać jak się to stać mogło... Nikt w istocie wytłumaczyć tego nie umiał. Izba była pusta, ani śladu wyłomu, ani popsutego zamka... Stróże nie widzieli nikogo wychodzącego ani dniem ani nocą. Padło podejrzenie na wszystkich, ale szczególnych poszlak nie było przeciw nikomu. Coś cudownego w tem uwolnieniu widziano, tak że zabobonni ludzie gotowi byli wierzyć w czary. Najściślejsze badanie nie potrafiło nawet wykazać nocą czy dniem uszedł więzień i jaką wydobył się na wolność drogą.

Poszły listy gończe na wsze strony... ale że nikt tak bardzo sprawy nie popierał, przygłuszono ją, i po-

została tylko legendą bajeczną w miasteczku... Utrzymywano że po kobiecemu przebrany wymknąć się musiał.

Panna Teresa przeglądała właśnie historyczne ilustracje jakieś, ażeby z nich zaczerpnąć pomysł do stroju, w roli Maryi Stuart, gdy do drzwi zadzwoniono.

Ponieważ nikt oprócz obcych tym sposobem się nie oznajmował, a znajomi pukali zwykle aby się do niej dostać — panna Teresa z wielką niechęcią powoli zamknęła książkę i poszła ku drzwiom, poprawiając domowy strój zaniedbany... Twarz jej wyrażała nieukontentowanie.

— Natręt jakiś! mówiła do siebie, chwili spokoju niema człowiek...

Otworzyła przecież drzwi i ujrzała zupełnie obcego mężczyznę, już niemłodego, który bojaźliwie zaglądał wewnątrz mieszkania, stał na progu i wahał się co ma powiedzieć. Fiziognomią miał tak przestraszoną, twarz tak wybladłą i wynędzuiałą, ręka w której kapelusz trzymał tak mu drżała, a w rysach tyle było wyrazu niespodzianie tragicznego, bolesnego że panna Teresa z podziwieniem wpatrując się w tę

postać, domysłając jakiegoś zbiedzonego artysty z prowincyi, przychodzącego po braterską jałmużnę — nie wiedziała sama co począć.

— Czy nie omyłką pan? spytała...

— Nie — słabym głosem rzekł mężczyzna...

— Panna Teresa... ska?

— Tak jest...

— Pozwoli pani, jakając się dodał niespodziewany gość — interes najwyższej wagi. Czy pani sama?

Coraz bardziej zdziwiona, artystka odpowiedziała.

— Proszę pana sama jestem.

Mężczyzna, który ubrany był w paletot z podniesionym kołnierzem, jakby się lękał żeby go niepozna-no. wsunął się ostrożnie, i naprzód całe mieszkanie niespokojnem wejrzeniem rozpatrywać począł.

— Niema nikogo? zapytał. .

Zaczynało to niecierpliwić dosyć żywą pannę Teresę.

— Mówiłam panu. .

— Pani mi przebaczy, rzekł cichym i osłabłym głosem nieznajomy — wydają się jej dziwnym... Nie-szczęściu wiele darować potrzeba — a ja jestem bardzo nieszczęśliwy...

Sposób jakim wyrzekł te słowa. dowodził, że szły mu z duszy, że w nich nic kłamanego nie było... Zabrakło mu głosu... panna Teresa uczuła litość. zrezygnowana przysunęła mu krzesło.

— Siadaj pan, proszę. uspokój się. — Jeżeli mogę mu być pomocną w czym...

— Pani się o tem dowiesz zaraz. rzekł trąc czoło... Lecz od czegoż mam zacząć?

— Mów pan, jak najkrócej, jak najprościej. to będzie najlepiej.

Znaczyło to — nie nudź mnie.. Mężczyzna mimo wahania zdawał się rozumieć. Z kieszeni bocznej surduta, dobył pomietą, brudną karteczkę...

— W roku.. dnia... miesiąca, godzinie, czytał drżącym głosem — dziecę płci żeńskiej. podrzucone zostało do szpitala Dzieciątka Jezus.

Teresa zarumieniona, z załamanemi rękami, porwała się z krzeselka.

— To dziecę jest — mojem, kończył coraz ciszej mężczyzna. Nieszczęśliwy, okropny skład okoliczności zmusił mnie, a raczej — po co mam kłamać — młodość i płochość moja spowodowały, że je niegodziwemu słudze oddałem na wychowanie... Zdradził mnie, rzucił je do szpitala... Los mi pomógł ślad mojego dziecka odszukać... Przywłókłem się po nie, pomimo, że moja przytomność tu grozi mi — śmiercią... Pani wzięłaś to dziecę, ono jest u niej.

Kończył drżącym głosem, a podniósłszy oczy, ujrzał pannę Teresę, spoglądającą nań z gniewem, z oburzeniem, ze zgrozą i rozpaczą niemal. Nie mogła wyrzec słowa... wyciągnięta ręka jej, odpychająca go — drżała...

— Dosyć tego — zawołała — jest to zapewne środek wyłudzenia odemnie zapłaty! Dziecko to do waćpana, do nikogo należeć nie może, tylko do mnie.. Rodzice się go bezduszni zaparli, rzucono je bez nazwiska. bez znaku, bez opieki na łaskę i nie łaskę losu... a gdy sercem do litościwej piersi przyrosło, ma być wolne pierwszemu lepszemu co się o nie zgłosi —

zabrać aby je raz drugi i gorzej może dać na zatrącenie!!

Waćpan myślisz że ja mu je oddam! To dziecko mojem jest, bo mi je przyswoiła miłość moja, bo ona mnie kocha jak matkę, a ja je jak własne dziecię...

Co waćpan chcesz? oddam ostatnią koszulę! Dziecka! nigdy!

Mówiąc to jakby na scenie, była straszną, tragiczną — poruszającą.

Mężczyzna słuchając jej z jakimś poszanowaniem, wstał.

— Pani, zawołał — ja jestem ubogi. ja jestem nieszczęśliwym — ja nie mam na świecie nikogo. ale ja oddam co mam, aby choć późno obowiązku dopełnić. Ja jestem jej ojcem.

— Waćpan jej ojcem? katem raczej — w zapale oburzenia odezwała się artystka. Nie byłeś jej ojcem, zaparłeś się...

Przestraszona jakąś myślą, nie dokończywszy, pobiegła panna Teresa i zamknęła drzwi prowadzące do dalszych pokojów.

— Waćpan się nie łudź, dodała cała zdyszana, tego dziecka mieć nie możesz... Ja, jabym je miała oddać w ręce tego, co się go zaparł w niemowlęctwie...

— Pani, przerwał nieznajomy zmieszany — nie wypieram się winy, godzien jestem kary, występny się wyznaję... ale jestem nieszczęśliwy — jestem dziś bardzo nieszczęśliwy... Ulituj się pani nademną.

— A nad mojem dzieckiem mam nie mieć litości? wybuchnęła panna Teresa, ze śmiechem bolesnym. Jakąż rękojmnią dla mnie daje ta spóźniona miłość i skrucha?

Coraz się bardziej unosząc i pragnąc co najprędzej ukończyć tę scenę, artystka pobiegła ku drzwiom wchodowym, i otworzyła je.

— Wychodź pan! nie mamy nic więcej do mówienia z sobą... Żegnam pana. Nieznajomy stał w miejscu nieruchomy, pot tylko ocierał z czoła...

— Pani litości nie masz. szepnął cicho... Nie wiem jak mam mówić. Racz mnie wysłuchać, zaklinam panią.

Panna Teresa gwałtownie zatrzasnęła drzwi. Z namarszczoną brwią usiadła w krześle. trzęsąc się z gniewu. założyła ręce na piersi — milczała.

Mężczyzna walczył z sobą długo.

— Pani masz słuszność, rzekł ponuro — uznaję to — ale ja mam prawo do dziecka...

— Prawo? jakie? zrzekłeś się go na rzecz szpitala. Gdybym ja nie wzięła dzieciny, dzisby ona może zamiatała ulice; czyż wiem jakiby ją los mógł czekać?

— Nigdy w świecie jej nie dam... kocham ją... to dosyć. Dla was to obca istota, dla mnie córka... i ja bym ją dać miała... Nigdy! nigdy! Chcesz pan, pozwyj mnie do sądu, pójdę się bronić sama, a jeśli w piersiach sędziów znajdę serce. wygram sprawę moję — jak Bóg na niebie.

— Ja pozwywać nie mogę — odezwał się nieznajomy — ja jestem sam... pod wyrokiem. — ja muszę uciekać z kraju.

Panna Teresa zmarszczyła czoło.

— I śmiesz na podział tego nieszczęśliwego losu dopominać się dziecka! A, to prawdziwe serce ojcowskie. Zapewne wziąłbyś ją waćpan jako sługę... a - już — mówić nie mogę.

— Pani, przerwał czerwieniąc się nieznajomy... pani jesteś nielitościwą.

— Ja się bronię... ja własności mej bronić będę do ostatniego...

Głosu jej brakło.

— Kto waćpan jesteś? zapytał.

— Jestem nieszczęśliwy, rzekł cicho, tego dosyć.

— Nie — bo nieszczęście musi być skutkiem winy. Pocóżbyś się ukrywać musiał i uchodzić...

Gość spuścił oczy... zabrakło mu słów, głowę pochylił, zamyslił się. Siedział tak jakby zapomniawszy gdzie jest i kogo ma przed sobą. To zdrętwienie przejęło jakąś obawą artystkę.

— Czy to dziecię waszem jest czy nie, zawołała, to wielkie pytanie. Często po kilkoro podrzutków jednego dnia i godziny się znajduje w kolebce.

— Tego dnia — zawołał prędko mężczyzna, było tylko to jedno... Świadczą rejestra szpitalne.

I znowu siedział zamysłony...

— Panna Teresa zniecierpliwiona do najwyższego stopnia, poczęła się przechadzać po pokoju, jakby tylko wyjścia natręta czekała. Po namyśle długim wstał z krzesła, chwiejąc się na nogach.

— Nazwisko moje pani jest niepotrzebne — odezwał się — ale z położenia mojego wytłumaczyć się muszę. Mimowolnie popełnione zabójstwo zmusza mnie do ucieczki. Jestem szlachcic, niedawno miałem jeszcze wieś, majątek... dziś pozostało mi około stu tysięcy złotych. mam krewnych za granicą. Jadę pracować aby dziecku przyszłość zapewnić. Pani sama nie jesteś majątną, jesteś artystką. Jakiż los jej zgotować możesz? i chyba ten zawód ją czeka, któremuś

się pani poświęciła. Jest on zaszczytny, nie przeczę— ale... Zamilkł.

— Przepraszam pana — przerwała gniewnie panna Teresa, mylisz się. Nie chcę jej uczynić artystką, aby jak ja nie cierpiała, aby w duszy czując się królową, w życiu nie była najlichszej gawiedzi poddaną, a w prywatnej sferze istotą wyjątkową i niemal wzgardzoną... Nie — uczę ją pracy, usposabiam ją do życia w rzeczywistości, my snami żyjemy, a w przebudzeniach bolejęm tylko. Nie — ona nie będzie artystką...

— Pani mnie nie uznajesz zdolnym zabezpieczyć jej los — rzekł nieznajomy — daruj że też ja odmówię pani do tego, nie chęci ale mocy... Pani żyjesz jak sama mówisz, snami, a życia twardego dni powszednich rozumieć nie możesz.

— Ale mam serce i instynkt matki dla niej, a waćpan zapóźno poczułeś, nawet obowiązki ojca...

Dosyć tego, dokończyła — próżno będziemy się sprzeczali — ja nie dam dziecka...

To mówiąc wskazała na drzwi, ale mężczyzna się ani ruszył z miejsca.

Panna Teresa, chociaż przeżyła wiele i przeboleła, nie nabyła zimnej krwi i cierpliwości, temperament miała żywy a nawyknienie do sceny nadawało jej więcej jeszcze namiętności w ruchach i postawie.

Serce jej było rzeczywiście poruszone, nie wiedziała co począć z tym osobliwym uatrętem, który spadł na nią niespodzianie z groźbą odebrania dziecięcia, do którego się przywiązała. Oburzoną była i gniewną.

— Mówiłam panu, — powtórzyła po chwili — że dziecka mu nie oddam. jeśli jest jakiś sposób prawny wydarcia mi go, możesz próbować, z dobrej woli, mówię panu uroczyście — nie zrzeknę się przybranej sieroty. Jest moją, ludzie i Bóg inaczej nie osądzą...

— Mówiłem pani, — rzekł ponuro mężczyzna, że prawować się nie mogę, upominać nie mam sposobu — rachowałem na jej serce, na jej litość, na sprawiedliwość.

Nie miałabym serca, litości ani uczucia sprawiedliwości, gdybym uczyniła zadość jego żądaniu — przerwała artystka.

— Dodam to tylko — szepnął mężczyzna — iż mogę być co chwila pochwycony i zginać, ale nie zważając na niebezpieczeństwo, będę stał u drzwi pani. póki mi nie oddasz dziecka... Mam dla niego obowiązki, chcę je spełnić, dam mu imię moje — dam co mam... przestanie być sierotą bez nazwiska...

Teresa pogardliwie się uśmieknęła. Niechże choć wiem, dodała — jak się pan nazywasz?

Mężczyzna zawahał się nieco i pomyślał.

— Jest to nie tylko moja, ale i innych osób dotycząca tajemnica — honorowi pani powierzyć ją mogę. Nazywam się — Michał Skórski.

Panna Teresa, która bardzo dotąd obojętnie słuchała co mówił, krzyknęła usłyszawszy nazwisko, znane jej z wyznań przyjaciółki. Załamała ręce, ze spuszczoną głową padła w krzesło, nie odpowiadając stojącemu przed nią panu Michałowi.

Zdało się jej cudem prawie, że ta nieznana sierota — była córką jej najlepszej przyjaciółki, widziała w tem jedno z tych dziwnych zrządeń opatrności

niepojętych, które ludzie trafem zowią. a serca wiarą przejęte — Bożej ręki dziełem. Przywiązanie generałowej do tego dziecka, w którym się nie mogła domyślać własnej córki — miłość Lizki dla niej — wypadek, który te ciemności tak cudownie a nagle rozświecał — wszystko to pogrążało ją w jakiejś zadumie uroczystej. Skórski wytłumaczyć sobie tego nie umiał.

Panna Teresa nie rychło wstała i podniosła nań oczy.

— Niepojęte są losy ludzkie — rzekła — nazwisko pańskie, czegoś się domyślać nawet nie mógł. dało mi nazwisko matki dziecięcia. Jest w tem palec opatrności. Ja jestem przyjaciółką Natalii,—w lepsze ręce dostać się dziecię nie mogło — i pan byś chciał je odbierać!

Z kolei Skórski stanął zdumiony.

— Zkąd że pani wiesz o czem nie powinieć, nie może nikt wiedzieć?

— Myśmy siostrami dla siebie były niegdyś i jesteśmy do dziś dnia—nie miała dla mnie tajemnic. Lecz mogłażem się spodziewać, przewidzieć, że ja będę wyznaczoną dla ocalenia jej dziecięcia od nędzy i sieroctwa!

A! to nie pojęte! za to nie wiem jak Bogu dziękować...

— Idź pan—zawołała — dziś nie mogę mówić więcej, przyjdź jutro. nie przychodź wcale. uczyn jak mu się podoba... ale teraz. błagam go. proszę. zostaw mnie w spokoju...

Skórski skłonił się, chciał zdaje się prosić o coś jeszcze, ale nie śmiał i zbliżył się ku drzwiom. W tem

panna Teresa zawołała go. Porwała się nagle jakąś myślą poruszona, z gorączką sobie właściwą, chwyciła papier, pióro, kałamarz:

— Pisz pan, zawołała— pisz pan zeznanie, że Lizka jest jego córką, i na czym to przekonanie opierasz, — ja potrzebuję tego świadectwa.

Skórski się nieco zawahał.

— Pani nie możesz tego papieru pokazywać nikomu...

— Nie zdradziłam i niewydałam nikogo w życiu — nie narażę i was na niebezpieczeństwo — pisz pan — to mi potrzebne...

I stojąc nad nim nagliła go...

Skórski ulegając żądaniu, po namyśle usiadł do pisania.

— Jabym chciał choć widzieć ją, — rzekł cicho.

— Nie dziś? odparła stanowczo Teresa — dziś nie — żegnam pana! To mówiąc chwyciła już papier, przycisnęła bibułę, złożyła go szybko i za gors schowała...

Skórski wyszedł z wolna. Artystka poczęła się gorączkowo przechadzać po pokoju... klękła potem u kanapy ze złożonymi rękami i zaczęła się modlić. Dramat, który zwykła była odegrywać na scenie, wkraczał w jej własne życie. Doznawała uczucia jakiegoś egzaltującego, podnoszącego ducha, którego najwznioślejsza poezja nczynić na niej nigdy nie mogła. Serce jej biło, łzy się lały z oczów, była szczęśliwą i biedną razem. Jeszcze tej modlitwy nie dokończyła, gdy do drzwi od pokojów, które była zamknęła, dobijać się zaczęto. Za niemi słychać było świeży głos Lizki, wołający na nią słodkim imieniem matki.

— Mamo, mamo, czego się mama zamknęła? to ja! to twoja Lizka! proszę otworzyć! proszę otworzyć!

Porwała się Teresa. otworzyła i wchodzącą Lizkę porwała w objęcia. ściskając namiętnie. Dziecię oddało jej ten uścisk z weselem, z uśmiechem, z pieszczotą, chociaż go zrozumieć nie mogło. Panna Teresa usiadła tuląc ją do siebie i nie mówiąc jeszcze słowa...

— Czy mama co grała, że taka wzruszona. zapłakana — smutna? proszę zaraz dla Lizki pokazać twarz weselszą... Mamcia wie i sama mówi, że dla dzieciny Lizki łzy są zaraźliwe... to i ja się rozpłaczę.

— Nie płacz — dziś ci płakać nie wolno, powinnaś się pomodlić — rzekła wzruszona matka przybrana. Słuchaj mnie nważnie Lizko, gdybyś miała drugą matkę... czy byś mnie zawsze kochała?

— Jakto drugą matkę? zdumione spytało dziecko; — dwóch matek nikt mieć nie może...

— Lecz gdyby... gdyby, mówiła Teresa całując ją, matka przybrana musiała prawdziwej ustąpić — czy dla mnie zostałoby ci w sercu miłości trochę?

Pytanie to niejasne, zmusiło dziecko do myślenia, Lizka nie dobrze je zrozumiała, patrzyła w oczy Teresie jakby w nich czytać chciała to. czego wyrazi niedopowiedziały...

— Jakże ja ciebie nie mam kochać? odparła cicho — i czyż może przestać kto raz kocha?

Naiwne to pytanie zapłacone zostało pocałunkiem, i nie mówiła już nic więcej Lizce, które w główce swej dziecięcej rozbierając matki słowa, pozostała zamyśloną.

Zbliżała się godzina, w której zwykle na chwilę przybiegała generałowa. Z niecierpliwością oczeki-

wała na nią Teresa. Co chwilę patrzyła na drzwi i wstrząsała się słysząc chód na korytarzu. Sama nie wiedziała jeszcze czy ma jej wyjawić tajemnicę i w jaki sposób to dokonać, a czuła że utrzymać jej w sobie nie potrafi. Naostatek znane pospieszne kroki Natalii, dały się słyszeć w korytarzu, weszła żywo, ale nie jak zwykle smutna i spokojna a zrezygnowana — weszła z oczyma czerwonymi od łez, z piersią wznoszącą się westchnieniami, zburzona, bezsilna weszła i upadła przy drzwiach na krzesło.

— Co ci jest? na Boga! przybiegając do niej wraz z Lizką, zawołała przyjaciółka...

— Nie pytaj! daj mi się wypłakać—daj mi się uspokoić, myśli zebrać. Chodzę jak obłąkana od rana... pod ciężarem nowym... ty nic nie wiesz...

— Cóż się stało? twój mąż?

— Nie mów nic o nim... on wszystkich moich nie-szczęść przyczyną... Róża biedna nie żyje! I jaki zgon! mój Boże — z ręki tego człowieka! Michał ją zabił...

— On ją zabił! krzyknęła artystka, przypominając sobie w tej chwili rozmowę z nim, jego wyznania.

— Dla niej wszystko skończone — zawoła Natalia. on dokończył tylko zabójstwa poczętego przed laty... konowała długo... Po tym czynie .. uciekł zbójca... bo jego zbrodnie bezkarne być musiały wszystkie...

Teresa milczała długo zamyślona.

— Zkądże ty to wszystko wiesz—generał wrócił?

— Niema go jeszcze, ale raczył napisać do mnie...

Obie dłonie przyłożywszy do rozpalonych skroni, Natalia siedziała płacząc, Lizka teraz zbliżyła się

do niej i obejmując ją rączkami, po swojemu pocieszała pocałunkami.

Czy w tym stanie ducha można było dopowiedzieć generałowej resztę historyi jej własnej, i w tej chwili rzucić w objęcia utraconą dziecinę — nad tem potrzebowała się namyśleć artystka. Szepnęła Lizce ażeby wyszła nie naprzykrzając się generałowej, która potrzebowała spokoju... Dziecię posłuszne wybiegło na palcach, stanęło w progu z żalem rozstając się z matką i powoli wróciło do swej robótki...

Gdy drzwi się za nią zamknęły, generałowa nieruchło podniosła oczy zapłakane.

— Zbójca ten zbiegł, odezwała się — a z nim ostatnia moja nadzieja dowiedzenia się o losie dziecięcia. Nie wierzę w jego śmierć — czuję że żyje, widzę je we snach moich, wyciągające ręce ku mnie, wyrzucające mi żem nieładzko je porzuciła, zaufawszy w serce ojca? Ale ojcowie serc nie mają! — a matki serca i wnętrzności dla dzieci! Przyjdzie mi więc z tą ostatnią myślą się pożegnać, żebym je kiedykolwiek odzyskać mogła...

Z rękami załamanymi zaczęła chodzić po pokoju — Teresa nie spuszczała ją z oka.

— Moja Talko, rzekła na pozór chłodno — nie powinnaś rozpaczać, nad dziećmi opuszczonemi cznwa opatrność Boża... Wierz mi... W chwili gdy się tego najmniej możesz spodziewać, dziecię się cudem znajdzie!

— Dla mnie! cud! gorzko poczęła Natalia — albowiem ja cudu godna? Cóżem w życiu uczyniła aby nań zasłużyć? Byłam lekkomyślną matką, jestem złą żoną, nie umiem się poddać losowi memu. dręczone siebie

i drugich. targam więzy co mnie pętają... A! Bóg dla takich istot odrzuconych cudów nie czyni.

— Mnie się zdaje przeciwnie — odpowiedziała Teresa, gdybyś nawet była taką jaką ci się podobało odmalować, Bóg mógłby cud uczynić. aby cię nawrócić... Cierpiałś nadto...

— Tak—to przechodziło siły moje—mówiła Natalia. Wierz mi, były chwile gdy z łzami u ołtarza prosiła Boga aby mi wziął życie, lub ujął brzemienia. Lecz czyż głos taki jak mój idzie do nieba?

— Wierz tylko w cuda—stanie się! zawołała Teresa — al ja wierzę w cuda na ziemi! jam ich doświadczyła.

Z za łez spojrzała generałowa.

— Nie widzę ich w życiu twojem — rzekła niedowierzająco...

Teresa nie odpowiedziała nic.

— Więc Skórski uciekł? zapytała obojętnie.

— Znalazł zapewne przyjaciół co mu do ujęcia z rąk sprawiedliwości dopomogli—a! niechby sobie żył—byleby przyszedł nań kiedy żal i skrucha i wyznanie prawdy.

— Ty jednak dziwna jesteś — przerwała siadając przy niej Teresa. Chcesz wieści o tem dziecięciu, lecz nawet gdybyś je jakim wypadkiem odzyskała—cóżbyś uczyniła? Wydaneby było na łup mściwemu generałowi. Byłoby ono bezpiecznem? Znasz człowieka — nie musiałabyś drzeć co chwila o los dziecka.

Dreszcz przebiegł po Natalii, która poruszyła się cała i obejrzała z przestachem.

— A! tak jest—ale jabym je skryła od niego... mogłabym choć ukradkiem widzieć je niekiedy —coś dlań

obmyśleć, czuwać nad niem... Miałabym nadzieję. choć kiedyś — może zbliżyć się do niej lub oddać ją w ręce coby ją otuliły od niebezpieczeństwa... Pomyśl! Rzucona w świat. bez opieki może... jaki los ją czeka... srom, nędza...

Zakryła sobie oczy.

— Talko droga, uspokój się—obejmując ją odezwała się Teresa. Gdybyś nie była tak poruszoną mogłabym ci może coś pocieszającego powiedzieć.

— Mnie? pocieszającego? jestże coby mnie mogło pocieszyć?

Spojrzały sobie w oczy...

— Wiem coś wypadkiem o losie tego Skórskiego. Mówiła namyslając się artystka. Przyjaciół profesora ...ski (zmyśliła nazwisko) jest dawnym towarzyszem i przyjacielem Skórskiego. Dziś rano mówił mi właśnie.

Oczy Natalii tak dziki wyraz przybrały słuchając, iż Teresa wstrzymała się w opowiedaniu.

— Co ci mówił? na Boga! prędko! przerwała generałowa.

— Że Skórski wczoraj podobno przemykał się przez Warszawę — i — nie sam, ale — jak mówią z dziećmi... dziewczynka bardzo ładna, mogła być wieku Lizki...

— Ale on tu jest jeszcze może—krzyknęła ręce zalamując generałowa—na Boga! na zbawienie! Tereso, idź do profesora, poślij go, spiesz — ja chcę widzieć dziecię—ja je muszę odebrać, choćbym zbójcę siostry poświęcić miała..

Artystka stała tak dziwnie niewzruszona i spokojna, że Natalia nie mogąc tego pojąć, oburzyła się gniewem.

— Ty nie masz serca! zawołała—ja cię proszę.

— A ja proszę cię—o spokój—odpowiedziała Teresa. Właśnie żem dowiedziałyszy się o tem, miała serce... dla tego—dla tego...

Natalia z ustami otwartemi stała czekając ostatniego słowa...

— Dziecię twoje—odebrałam!!

Spojrzała na generałową, która pobladła, osunęła się—i—omdląła... Lecz osłabienie to trwało chwilę tylko... jak ze snu obudzona zerwała się na nogi i rzuciła na ziemię aby podziękować Teresie, która ją ledwie czas miała uchwycić w objęcia. Milcząc do była papieru, który miała przy sobie i podała go jej.

Natalii w oczach się ćmiło, czytała i zrozumieć nie mogła. Zdawało się jej niepodobieństwem. ażeby Lizka córką jej stać się miała—brzmiało to jak cud—jak coś niepojętego, nieprawdopodobnego...

W tem Teresa zawołała na dziewczę, z wielką uciechą i podskokami biegnące ku nim... Natalia rozplakana porwała ją na ręce i przycisnęła do piersi. oszałała niemal z radości... Dziwny jakiś głos dobywał się z jej ust, niezrozumiały, załzawiony, namiętny...

— Moja! ona jest moja! wołała ciągle — być że to może? Lizko! tyś moja... a! wielki jest Bóg! a litościwy... i modlić się, modlić, modlić potrzeba...

Dziecię nie rozumiało nic, ale pojmoowało tę jakąś wielką radość otaczającą je—choć Teresa dzieląc ją, płakała... Czuła że część serca sierotki utraci.

Gdy nazajutrz wszedł znowu Skórski do mieszkania panny Teresy znalazł ją samą i zupełnie spokojną, siedzącą z książką w fotelu. Przygotowana była całkowicie na jego przyjęcie. Dnia tego Michał wydał się jej jeszcze straszliwiej wybladłym, znędzniałym i upartym. Po nbraniu włożonem bezmyślnie znać było przytomność i zaprzątnienie jakieś a zaniedbanie... Włosy w nieładzie, osowiałe oczy blade, drżenie febryczne, niepokój i obawa najmniejszego szelestu, stan jego ducha malowały.

Chytry i przebiegły wyraz twarzy, ustąpił nowemu, osowiałemu zimną zrezygnowaną rozpaczą, której pozostała tylko obawa cielesna nienchronnej męczarni. Im więcej panią siebie i chłodniejszą występowała panna Teresa, tem zdawał się w obec niej czuć więcej upokorzonym i słabszym. Widać było że mało mu pozostawało nadziei, wyswobodzeniu dziś tego, czego wczoraj uprosić nie mógł.

Przychodzę, odezwał się głosem słabym, — i mam nadzieję.

— Muszę panu wszelką odebrać — przerwała poważnie artystka — ale natomiast dać panu tę pocieszającą pewność, że dziecię pozbawione ojca — mieć będzie troskliwą we mnie matkę, jaką byłam dotąd — że ich mieć będzie dwie, bo oko drugiej matki ze krwi także nad niem czuwać będzie...

— Jakto? zapytał nagle Skórski — generał by je zabił.

— Generał wcale wiedzieć o tem ani potrzebuje, ani będzie—mówiła Teresa, o to pan być możesz spokojnym.

— Ale pani nie powinnaś mnie i dziecka zdradzać! oparł się ożywiając Skórski — to się nie godzi! Pani nie znasz człowieka.

— Znam wszystko—i mogę panu zaręczyć.

— Nie—ja się na to nie zgadzam! Generałowa nie powinna wiedzieć, mogłaby się z tem wydać — Hochwarth gotów na wszystko, aby się pozbyć nienawistnego dziecka... Ja nie mogę pozwolić, ja się narażę sam, ale ją wyratuję.

— Mój panie, odezwała się zimno Teresa, na którą oddziaływały rozmowy z generałową—byłeś pan tak mało ojcem tego dziecięcia, tak długo było ci ono obojętnem, zawadą—że mi trudno w tę nagle rozbudzoną czułość uwierzyć. Zostaw pan mnie troskę o los dziecka i bądź spokojnym.

Skórski się zmieszał.

— Wymówka słuszna—rzekł chmurno — ale dziś ja innym jestem człowiekiem. Jak się to stało, nie wiem; padł strzał, widziałem krew — przeszło mnie wrażenie morderstwa — zabity we mnie stary człowiek, jestem pokutnikiem i — nędzarzem. Nie pragnę życia—chcę umrzeć spokojny na sumieniu.. spokojny!

Westchnął.

Drzwi się otworzyły i w progu stanęła z groźną twarzą Natalia. Popatrzyła nań.

— Ja jestem matką, odezwała się, waćpan żadnego nie masz prawa do dziecka.

Skórski stał niemy.

Zabójco mojej siostry — idź ztąd — i nie pokazuj się tu więcej. Dziecka widzieć ci nie dam, nie jesteś wart go zobaczyć Idź! pokutuj!

Wskazała ręką na drzwi.

— Idź!

Teresie biło serce, zdawała się jej Natalia zbyt okrutną, lecz wstawiać się nie śmiała.

Skórski upokorzony nie mówiąc słowa wyszedł powoli... Słyszeć było nieprzytomny. dziwny, jakby pijany chód jego na wschodach...

— Ale on sobie życie odebrać może, szepnęła Teresa.

— O. tem nie odpokutowałby swej zbrodni... odparła Natalia.

Osiem lat upłynęło od opisanych wypadków, zmieniło się wiele rzeczy. znikło osób wiele, zapomniano mnóstwa wieści i plotek, które niegdyś po świecie chodziły — salon tylko pani pułkownikowej Salomei, z nieco wytartymi meblami, z troszkę odnowionem towarzystwem, — trwał zawsze na dawnej utrzymywany stopie. Tryb przyjęć nie zmienił się wcale, a dla oczu tych co przywykli patrzeć na miłą gospodynię. twarz jej nawet pozostała tak wdzięczną i świeżą jak dawniej. Radca utrzymywał że

pani Salomea odmłodziła i być to mogło gdyż dawniej prawie nie utrzymywała kosmetyków, posługiwała się własnymi zębami. obchodziła warkoczem danym od natury, a z postępem lat sztuce kazała zastąpić co wiek nielitościwy popsuł i wyszczerbił.

Wieczorami więc, z daleka, mogła się nawet świeższą wydawać.

Pewnego zimnego wieczoru, jak zawsze wśród karnawału, pułkownikowa dawała coś tańczącego, co się balem nazwać nie mogło, ale nim było w istocie.

Pani Salomea nie pozwalała, aby zabawy u niej nazywano balami. „Ja balów nie wydaję, — mówiła wszystkim, ale dla młodzieży, która zabawić się i poskakać potrzebuje, chętnie salon otwieram i zapraszam, byle wesoło się rozerwać. Choćby do białego dnia.“

W istocie muzyka nazwać się balową nie mogła, ale do tańca służyła wybornie. Składał ją fortepian wysłużony, któremu już nic się stać nie mogło, choć w niego całą noc bito co siły, skrzypce basetla, klarnet i bębenek. Była to orkiestra. usymplikowana, pierwotna, nie ceremonialna; czasem skrzypce odpoczywały pod pozorem zerwania struny, czasem klarnet się oczyszczał z ciepłych technień rodzących tony, basetla odzywała się tylko jak czkawka, ale ten pocziwy fortepian nie znużony, wiecznie huczący, brzmiały bo mu pedałów nie popuszczano — zastępował wszystko. I skakano bardzo rażno a ochoczo. Wprawdzie do wieczerzy był tylko jeden wina gatunek czerwony i jeden biały, ale

oba wyborne, a półmiski ładowane jak szkuty i potrawy niewykwintne a smaczne.

Miejsca było dosyć, bo zwykle dwa salony spore, u których zejszcia się zasiadała orkiestra, służyły młodzieży do skoków. Znano owe wieczory pani Salomei z ożywienia i wesołości nie wymuszonej, jaka na nich panowała. Sama gosposia choć ciągle się wyrzekała, że jest zastarą do tańca, dawała się brać do mazura, do kontredansa, do poloneza, do polki, walca tylko już nie znosiła, bo jej zbyt działał na nerwy.

Spodziewano się w tym dniu gości więcej niż zwykle, był jakiś karnawałowy przypływ młodzieży, inauguracye nowych panieńskich towarzyszek, mówiono o dziewicach mających po raz pierwszy ukazać się na ślizkich posadzkach salonu.

Młodzież dla tańca, starsi dla wieczery, wielu dla ciekawości wybierali się na raut pani Salomei.

Zwano czasem rautami te wieczory, dla ścisku, czemu drudzy oponowali, przedstawiając, że rauty z natury swej są nie tańczące, ale tylko duszące jarmarki.

Około godziny dziewiątej już zaczynali się zbierać goście i była nadzieja, że około jedenastej muzyka ozwie się polonezem Kurpińskiego. Co chwila zjawiała się nowa suknia jasna, nowy bukiet, nową morą okryta mama, jakiś czarno obleczoney tatko i z przeciętą na pół fryzyerską sztuką głową—młody lew pewien, iż tym razem serce jakieś upoluje.

Pani Salomea miała na sobie ubranie, które poważne jej, rozkwitłe wdzięki podnosiło znakomi-

cie; była to suknia blado lila. z koronkami białemi, w której jej było niezmiernie do twarzy. Wszystkie kobiety jej to powtarzały, ale że żaden mężczyzna nie konfirmował tego wyroku, pułkownikowa nie była jeszcze pewną. czy nie popełniła jakiego wykroczenia przeciw modzie.

Gdy już salony oba po podścianami przyozdobiły się grzędą piękności, gdzieniegdzie poprzeżynanych okwitłemi i żółkłemi postaciami dla zbawionego kontrastu, w chwili gdy fortepian rozpocząć miał swą burzliwą funkcją... szept się rozszedł po pierwszym salonie, oczy wszystkich zwróciły się ku drzwiom wchodowym, ktoś nowy ukazał się w progu, rozbudzający ciekawość niezmierną. Była to złotowłosa panienka, w białej sukience z różowymi wstążkami, ubrana prawie po pensyonarsku. ale tak piękna, że na niektórych twarzach odbity blask jej oblicza wyrażał się osłupieniem.

Śmiejąca się jej twarzyczka miała wyraz anielsko-dziecinny; oczy patrzyły w świat z męstwem tych źrenic, co się jeszcze nigdy niczego nie ułękły bo mało co widziały. Małeńkie usta różowe kwitły niewinnem weselem. Wszystko w niej było cudownie piękne i harmonijne. Kształty, postać, nóżka. ręka, a bursztynowy warkocz nie pożyczany od fryzjera, mógł jeszcze bez uszczerbku w lokach się rozsypać po białej szyjce...

— Widzisz ją — co za piękność!

— Patrz co za anielska twarzyczka.

— A! jakaż cudowna! mówiono dokoła.

Mężczyźni byli zgodni, wśród blondynek dojrzałych odzywały się słabe krytyki, niektóre pa-

nie teraźniejszości nie mogąc nic zarzucić. groziły przyszłością, ale zjawienie się blondynki zachwyciło salon cały.

Widywano ją ukradkowo na ulicach, w oknie, lecz była zbyt młodą, aby się mogła ukazywać w towarzystwach, tego dnia występowała po raz pierwszy, i po rumieńcu jej twarzyczki, po dziecinnie zakłopotanych ruchach, znać było że ją ten wielki świat przerażał, że tysiące oczu skierowane na nią, niepokoiły. Gdyby nie była tak wesołą, rozplakałaby się może.

Za nią szła snrowych rysów i wyrazu twarzy kobieta średnich lat niegdyś piękna, której z dawnych wdzięków czarne tylko oczy ogromne dziwnie iskrzące pozostały. Było coś dzikiego, niemiłego prawie w tem obliczu dumnem, nie rozjaśnionem żadnym promykiem nadziei — milczącym i wiekuistą napiętnowaniem tęsknotą...

— Kto to jest? proszę cię,—matka z córką! kto taki. mój radco? zapytał z natarczywością niezmierną młodzieniec w białych rękawiczkach.

— A! a! wiele by mówić! daj mi pokój.

— Ale radco kochany...

— Po kolacyi — głodny nie mam werwy w opowiadaniu — rzekł radca — cierpliwości... po kolacyi powiem.

Wktótce po ukazaniu się tych pań, wystąpiła w pierwszej parze polskiego jakaś prezesowa z jakimś księciem, w drugiej gospodyni z jakimś radcą i wieczór został inaugurowany.

Panienka w białej sukience zwracała ciągle oczy, a tancerzom prezentowanym co chwila, opędzić

się nie mogła; tańczyła lekko jak motylek, wdzięcznie, wesoło, z taką młodzieńczą fantazyą, iż starzy dawali sobie deptać po nogach. byle się na nią popatrzyć.

W tańcu rękawiczki wszystkie popekały, wiele trzewików zostało zmienionych, ochota była niezmierna. Młodzieniec uwijający się z talerzem, złapał nareszcie radcę przy małym wygodnym stolyczku posilającego się razem upakowanym kotлетem, pieczystem, kompotem i tortem. Praktyczny radca wyrzekł się form dla istoty, zdobył sobie zawczasu co mu było potrzeba i z obawą tylko patrzył, by kto nie przysunął się do podziału butelki czerwonego wina, którą z wielką pracą potrafił dla siebie ocalić. Młodzieniec z talerzem przysiadł się do niego.

— Panie radco, moja historia?

— Jem teraz, to jest zajęcie ważne, walka o byt... nie mogę mówić i jeść razem...

— Ale zlituj się.

— Powinieneś być do tej pory historyi się dowiedzieć—rzekł radca—a mnie od nich uwolnić.

— Z pełnem zaufaniem, czekałem na spełnienie obietnicy...

— O cóż ci idzie?

— Kto są te panie?

— A no, przecież tyle powinieneś wiedzieć, wdowa po generale Hochwarth i jej...

— Tu radca chrząknął głośno.

— Siostrzenica!

— Zkądże to zjawisko?

— Taka piękna panna nie mogła spaść, tylko z nieba...

— A nazywa się?

— No — nie wiem, siostrzenica pani generałowej zapewne. Radca począł się śmiać. No nie, nazywa się panna Skórska, bogata dziedziczka... a piękna jak anioł... ale mama, chciałem powiedzieć ciocia...

— Cóż ciocia. panie radco?

— Ciocia,—straszna i wymagająca... a ojciec...

— Alboż ojciec żyje? ma ojca?

— A ma... ma... Patrzaj no tam w prawo, ten stary, wyłysiały, z zapadłemi policzkami...

— Któż to taki?

— Niegdyś obywatel... później Bóg go tam wie, był w Australji długi czas, czy na petrolu, czy na złocie, czy na jakim innym instrumencie, ogromną zrobił fortunę i powrócił z nią do kraju...

— Pan go zna?

— Szkolny towarzysz, ale od pewnej chwili jego życia nie jesteśmy z sobą dobrze... To dziwak, trochę awanturnik... zresztą...

— Nie widziałem go ani na chwilę przy córce...

— A bo źle jest z generałową, która go nie lubi... i nie mówią nawet z sobą...

— Wygląda pani generałowa w istocie, rzekł młodzieniec—dziwnie jakoś, niemiło...

— Daj jej waćpan pokój, życie jej pono było niemiłe, coś dziwnego. Wyszła za drugiego takiego awanturnika jak Skórski, a może gorszego od niego, który ją o mało nie zamęczył zazdrością, podejrzliwością i popędliwością. Szczęściem dla niej, że go na polowaniu we własnych dobrach, zabił wypadkiem leśniczy... musiał go wziąć za dzikie zwierze... cha! cha! dodał radca. Dopiero po jego zgonie odetchnęła nie-

co generałowa i mogła wziąć do siebie siostrzenicę... Mówią że jej ma cały majątek zapisać, bo ją niewypowiedzianie kocha...

— Czy odziedziczyła po generale?

— Zapisał jej podobno in articulo mortis, nie mając komu zostawić.

— A z kądze ta waśń ze szwagrami? dopytywał ciekawy młodzieniec.

— Albo ja tam wiem! kto tam wyszpera, dosyć, że się nie lubią...

— Co za położenie przykre dla młodej osoby...

— Zapewne — mówił radca, ale ona się wychowywała zdala od ojca. mało go знаła nawet i niewiele cierpi pewnie na tem, że ją tak trzymają, iż ledwie go zobaczy... Ale jak to na wielkim świecie zwykle. musiałeś waćpan uważać, iż Skórski się przyszedł przywitać z generałową zdaleka, że córka mu dygnęła, że do niej kilka słów przemówił i dopiero odszedł.

— Uważałem i to, że generałowa przywitawszy się, twarz odwróciła od niego i już nie spojrzała nań.

— Bo się mocno nie lubią — mówił radca. Panna zrobi pewnie partya świetną. Po matce, chcę mówić po ciotce. weźmie dobra znaczne. a ojciec oprócz wioski dawnej ojczystej, którą wykupił, ale w niej nie mieszka, posiada pono znaczne kapitały; tylko gra słyszę na giełdzie może jeszcze zgrać się. Otóż i cała historia — dodał radca — jestżeś spokojny?

— Po części... chociaż zdaje mi się żeś pan radca część jej połknął razem z kotлетem!

— A bardzo być może! rozśmiał się stary. są rzeczy których się nie mówi, które się odgaduje, a tak szczęśliwie, z dobrą metodą uniwersytecką od natury obdarzony młodzieniec, powinien umieć prawdy zawsze dojść choćby na wierzchu nie siedziała...

— Mnie tylko jedna bije w oczy. to niezmierna piękność panny w jej blasku ginie wszystko... Co za urok! jaki wdzięk!

— I mówią, że wychowanie pańskie co się zowie — dokończył radca, śpiewa i gra mistrzowsko... ma-luje cudnie, tańczy jak widziałeś, a w dodatku do-bra. łagodna i...

— To prawdziwe nieszczęście! zawołał młodzie-niec, kogóż godnym uznają tego skarbu?

— Audaces fortuna juvat! — rzekł radca i ostatni kieliszek wina wychylił.

K O N I E C.



16-11-59

48-

Biblioteka Raczyńskich

JK 494



JK0494